

gazeta warta

Nr 2/2011

**Szokowanie –
to nie dla mnie**
wywiad z **Agnieszką
Mazek**

Wizażystka
Drogowskazy

czik/Kicz
**Za błękitnymi
drzwiami- Maroko**

Zegarmistrz
Truskawkowy
Paryż



WYDAWCA

PIstacjatv

produkcja@pistacjatv.com

biuro@pistacjatv.com

www.pistacjatv.com

REDAKTOR NACZELNY

Agata Grabowska

gazetownia@pistacjatv.com

FOTO

Agnieszka Mazek

Natalia Wolska

Sylwia Czarnacka

Mateusz Żemła

ILUSTRACJA

(PIngwin)

Aleksander Bogucki

OPRACOWANIE GRAFICZNE I SKŁAD

Agnieszka Maślanka

maslanka.agn@gmail.com

OKŁADKA

Wykorzystano Grafikę

Agnieszki Mazek pt. „Szach-mat-pat”



005

...i ryby głos mają

024

Guzik
Truskawki

007

Nowy Początek
Grzech siódmy

026

Bajki dla Dorosłych
Lawendowe Mydło

038

Zawody Świata
Wizażystka

010

Drogowskazy
Samochwała
wychodzi z kąta

028

Szort Mat
Ozonowa dziura

044

Szokowanie – to nie dla mnie.
Wywiad z Agnieszka Mazek

018

Polak w świecie
Maroko

030

C.D.N.
Zegarmistrz

050

"So sweet project"

022

Przewodnik Sentymentalny
Truskawkowy Paryż

034

czyK/Kicz
Mężczyźni są leniwi

051

Bajki Nowe
Paw czy Żyrafa



i

R

y

B

y

g

Ostatnio zaczęłam się zastanawiać, jaką rolę dorośli spełniają w naszym życiu. Dorośli, których spotykam na co dzień np. w szkole, w sklepie, czasem na ulicy lub w kinie są zwykle bardzo fajni i uprzejmi. Albo nasi rodzice: opiekują się nami troskliwie, kiedy trzeba pomóc nam w nauce to nie zawodzą, a jak mamy kłopot z kolegami lub koleżankami w klasie, to nam doradzą. To są rzeczy, za które ich cenię.

W dorosłych nie podoba mi się to, że bardzo często mówią, co mamy robić: „sprzątnij pokój, wyłącz komputer, pościel łóżko, przygotuj się do sprawdzianu” itd. Oczywiście, kiedy tego nie robimy, jest afera. Gdy dzieci o coś proszą, a dorośli im to obieca, często okazuje się, że można usłyszeć: „za chwilę” lub „nie teraz, ja coś robię, coś bardzo pilnego”. Zdarza się, że dorośli krzyczą na dzieci. Brak im cierpliwości, nie pozwalają sobie niczego wytłumaczyć i jeszcze są oburzeni,

kiedy próbujemy im wyjaśnić problem. To po prostu jest nie fair!!!

Dorośli często nie pozwalają dzieciom na różne rzeczy, ponieważ, jak uważają, „może to być niebezpieczne”. Możliwe, ale czy to powód do zakazywania dzieciom takich zabaw jak: rzucanie piaskiem w kolegę (najlepiej prosto w oczy), granie w piłkę nożną w domu, siadanie na plecach kolegi lub koleżanki i tym podobne super rzeczy? Po zastanowieniu jednak, odpowiem niestety „Tak”. Punkt zdobywają dorośli. Najłatwiej to pojąć, kiedy trzeba zacząć opiekować się kimś młodszym: bratem w domu, czy koleżanką na obozie.

Dzieci mają chyba największy żal do rodziców o to, że nie mogą jeść tylu słodczy ile by chciały. I tu: kolejny punkt dla dorosłych! Po przygodach u dentysty sama zaczęłam jeść dużo mniej czekolady i cukierków...

Zapomniałabym o jeszcze jednej sprawie: straszne filmy. Każde dziecko



chce się pochwalić koledze: „Wiesz ja oglądałem/łam taki super straszny film”. Kiedy taki właśnie rewelacyjny „dreszczowiec” jest do obejrzenia w telewizji, dorośli oczywiście kręcą głowami i mówią: „O tej porze dzieci powinny już spać. Marsz do łóżka!”. Dzieci posłusznie kładą się spać i już po chwili oglądają telewizję, zaczajone w przedpokoju. Sama tak robiłam, więc wiem jak to jest. Potem taki nielegalny widz jest zmęczony, a kiedy w końcu udaje się go zagnać do swojego pokoju i usypia, po godzinie daje się słyszeć: Boję sięęęęę!”

Gdyby ktoś mnie się spytał, jaki według mnie powinien być idealny dorosły, to bym mu nie potrafiła jasno odpowiedzieć. Po prostu nie wiem. Ale chciałabym, żeby dorośli byli bardziej dziecinni – potrafili się bawić, cieszyć i nie zamartwiali się tymi swoimi dorosłymi problemami. Powinni lepiej pamiętać, co było dla nich ważne, kiedy byli w moim wieku.

Gosia, lat 11

Moi rodzice zasadniczo są spoko ale czasem to ... Całymi dniami i często wieczorami nie ma ich a jak wracają z pracy to dowiaduję, że zapracowują się właśnie dla mnie, żeby mi „zapewnić”, a ja zamiast się odwdzińczyć dobrymi stopniami to siedzę całymi dniami przy komputerze i nic nie robię. Porobiłbym ale, z kim. Piłka z ojcem – ostatni raz w V klasie bo potem dostał awans i jeszcze później zaczął wracać, a nieźle gra, naprawdę. Teraz to głównie ćwiczy pilota TV i leżenie na kanapie. Właściwie tylko w wakacje jesteśmy razem – to znaczy w te dwa tygodnie, kiedy lecimy na koniec świata, padamy z gorąca ale przynajmniej gadamy i pływamy razem. Staruszek jak na swój wiek wydolny jest trzeba przyznać.

Mama głównie wychowuje przez: „Boże, tak się o Ciebie martwię synu” oraz „Nie wracaj do domu po 22-giej!”. Może mnie sprawdzić bo sama jest już koło 19tej ale za to jej oczy lepiej się czasem przymykają na różne rzeczy i robi super tort z ananasem – jak ją poproszę to nie tylko na moje urodziny tylko tak – dla mnie.

Sylwek, 14 lat



Grzech siódmy

Lenistwo – zgodnie z Katechizmem Kościoła Katolickiego - jest jednym z siedmiu grzechów głównych, co prawda wymieniane jest na ostatnim miejscu ale nie wiem czy kolejność ma tu jakieś znaczenie. Pycha, chciwość, zazdrość, gniew, nieczystość, nieumiarkowanie w jedzeniu i piciu, no i lenistwo właśnie. Dziś co prawda, w skutek ogólnie znanej elastyczności Kościoła, jego zdolności do przystosowania się do zmiennej sytuacji, nieco wiernym „odpuszczono” i przywary te nie są już grzechami ale „wadami”, które utrwalane mogą generować skłonność do grzechu jak i samo grzeszenie.

Literatura, nie tylko religijna, potępiająca lenistwo jest dość bogata, nie chodzi tu oczywiście o czysto fizyczny brak działania ale raczej o unikanie wysiłku w każdym aspekcie egzystencji, w tym wysiłku umysłowego czy szerszej – duchowego, ma to prowadzić do zubożnienia, wyobcowania, rozpadu więzi rodzinnych i społecznych oraz

do ogólnej degeneracji osobowości. Nie chcę dalej drążyć tego tematu bo konstatacje są raczej przykre. Nie jest to jednak stanowisko w kwestii lenistwa jedyne: Gabriel Laub powiedział kiedyś - wyrażając mądrość własną a i pewnie tradycyjną mądrość żydowską - że lenistwo jest ukrywanym ojcem postępu. Takie postawienie problemu wydaje się zresztą dość oczywiste, ludzie od zawsze starali się ułatwić sobie życie, a zwłaszcza uwolnić się od ciężkiej pracy fizycznej, osiągnąć to zarówno przez wynalazki techniczne jak i rozwiązania organizacyjne. Nie zawsze, a prawdę powiedziawszy, przeważnie, nie działo się to dla dobra ogółu, zazwyczaj kombinowano tak by to inni wykonywali ciężką pracę za nas. I tak oto mamy pierwotne źródła wyzysku i podziałów społecznych, znaleźliśmy się także blisko myśli innego wielkiego syna narodu żydowskiego, Karola Marksa mianowicie (tylko proszę mi tu antysemityzmu nie imputować!).

W naszym kręgu cywilizacyjnym naturalny jest szacunek dla pracy a nawet pewien kult pracowitości i potępienie lenistwa, znajdujemy go zarówno w myśli filozoficznej jak i w przekazach religijnych. Ideologia komunistyczna uczyniła z niego, obok walki klasowej, centralny motyw swojej narracji. Bertrand Russell, w swoim głośnym eseju „Pochwała lenistwa”, zajmuje zgoła odmienne stanowisko, cyt: „Dzisiejsza technika sprawiła, że czas wolny może w pewnych granicach być czymś więcej niż przywilejem jednej niewielkiej grupy, może stać się prawem przysługującym w równym stopniu wszystkim członkom społeczeństwa. Moralność pracy to moralność niewolników, a świat współczesny nie potrzebuje niewolnictwa”. Mocno powiedziane! Refleksje Russella na temat pracy są na tyle frapujące a jednocześnie nieodparcie zabawne, że pozwolę sobie jeszcze zacytować obszerny fragment: „...odpowiedzmy sobie na pytanie podstawowe: czym jest praca? Otóż bywa ona dwojakiego rodzaju: pierwszy polega na zmianie położenia części materii na powierzchni ziemi lub w jej pobliżu w stosunku do innej jej części;

rodzaj drugi zaś polega na wydawaniu poleceń innym, by to właśnie czynili. Pierwszy rodzaj pracy jest nieprzyjemny i źle płatny, drugi zaś przyjemny i dobrze płatny. Drugi rodzaj przejawia skłonność do niepohamowanego wzrostu. Istnieją przecież nie tylko ci, którzy polecenia wydają, ale również inni, którzy udzielają porad co do tego, jakie mianowicie polecenia powinny być wydawane. Zazwyczaj dwie zorganizowane grupy udzielają dwóch wzajemnie sprzecznych rad i to właśnie nazywa się polityką. Kwalifikacje wymagane do tego rodzaju pracy nie polegają na znajomości przedmiotu, co do którego się radzi, lecz na znajomości sztuki perswazji w mowie i piśmie, to jest sztuki reklamy.” Prawda że smaczne? W dalszej części rozprawy autor dochodzi do dość zaskakujących wniosków: postuluje mianowicie powszechne wprowadzenie czterogodzinnego dnia pracy, co – przy założeniu zastosowania rozsądnej organizacji – definitywnie zlikwidować ma bezrobocie, dać wszystkim masę wolnego czasu a towarów i dóbr i tak starczyłoby dla wszystkich. Nie wiem jak ten pomysł skomentowali ówcześni ekonomiści

ale Russell z werwą brnie dalej kreśląc obrazy świetlanej przyszłości. Nastąpi gwałtowny rozwój nauk i sztuk wszelakich, bowiem wszyscy ci, którzy mają takie potrzeby, będą mogli oddać się ich uprawianiu. Oczywiście Russell zdaje sobie sprawę że umiejętność mądrego gospodarowania wolnym czasem jest w znacznym stopniu, pochodną cywilizacji i wykształcenia, dlatego natychmiast postuluje rozszerzenie zakresu i poziomu edukacji, ale gdyby nawet niewielka część ludności poświęciła czas wolny od pracy zajęciom o pewnej społecznej doniosłości – to i tak efekt będzie potężny. Wszystko to autor rozważa całkiem „na poważnie”, z głębokim przekonaniem. Można by w tym miejscu dyskretnie sugerować, że hrabia Bertrand Russell był raczej specjalistą od logiki matematycznej ale być może nie powinniśmy dworować sobie z filozofa, może recepta faktycznie jest tak porażająco prosta i należałoby podsunąć ją grupom „udzielającym wzajemnie sprzecznych rad”, znaczy się, politykom naszym kochanym. Swoją drogą Russell pewnie mocno by się zdziwił, gdyby się dowiedział, że wiele lat po jego rozważaniach, młodzi ludzie – pod presją kariery i sukcesu – pra-

cuja, jak robotnicy we wczesnej fazie kapitalizmu, po dwanaście a nawet piętnaście godzin dziennie. To jeszcze raz potwierdza jak trudno jest przewidywać złożone procesy kulturowe, wielu myślicieli, analityków i wróżów rozmaitych, istotnie się z rzeczywistością rozminęło. W kwestii pracy, odpoczynku czy też zwykłego leniuchowania, trzeba pewnie znaleźć taki buddyjski „złoty środek”. Równowaga i ogólne „nie przesadzanie z niczym” jest jednym z istotnych wskazań tej filozofii (wielbicieli i znawców buddyzmu, za uproszczenie przepraszam).

Ci jednak, którzy nie mogą lub nie chcą podążać Diamentową Drogą, mogą znaleźć źródła inspiracji do „wyhamowania” w naszym kręgu kulturowym, w Biblii na przykład, co pokazuje znaną prawdę, iż można tam odnaleźć sentencje na poparcie dowolnej tezy, jak dobrze poszukać. Otóż, podczas Kazania na Górze, Jezus zwrócił się do uczniów mówiąc: „Nie martwcie się o dzień jutrzejszy, bo dzień jutrzejszy sam o siebie martwił się będzie. Każdy dzień ma dość własnej goryczy (Mt 6,24-34).

Z pozdrowieniami
Aneta Begin

OSHO

Samo
chwała
wy
cho
dzi
z kąta.

*Absolwencie-
rusz się!*

Drogowskazy



Rozmowa z **Hanną Wieloch**, terapeutką, doradcą zawodowym, trenerką rozwoju osobistego z ponad dwudziestoletnim stażem, o automarketingu i planowaniu swoich ścieżek zawodowych.

Witam ponownie, Pani Hanno. Bardzo się cieszę, że znów się spotykamy, aby rozmawiać o rodzimym rynku pracy. Dzisiaj chciałabym rozpocząć od absolwentów. Czy ciągle nie nauczyliśmy się wybierania przyszłego zawodu wybierając tylko kierunek studiów i nie zastanawiając się, co potem?

Ja również witam serdecznie. Tak, uważam, że tak właśnie jest. I to właśnie powinniśmy odwrócić. Zastanowić się, gdzie muszę pójść i co muszę zrobić, aby osiągnąć wymarzony zawód. Bo może wcale nie na studia. Często spotykam się z osobami, które są wrażliwe, miały jakieś problemy ze sobą i trochę się sobą interesują. Dlatego poszły na psychologię. Nie zastanowiły się jednak, czy chcą potem pracować jako psycholog. Nie myślą kategoriami: co robi psycholog, tylko raczej - to są fajne studia i one mi pomogą rozwiązać moje problemy. Zamiast tego mogą poczytać książki, czy pójść na terapię i to lepiej zaspokoiliby ich potrzeby niż studia psychologiczne. Takich pomyłek jest multum. Ludzie kończą studia i orientują się, że musieliby robić coś, czego nie lubią.

A może lepiej jest zyskać doświadczenie, niż pójść na studia?

Badania coraz częściej pokazują absolwentów, którzy po studiach nie mają żadnych określonych kwalifikacji. Tacy ludzie często idą do Urzędów Pracy, aby zapisywać się na kursy i zdobyć kwalifikacje, których nie dały im studia. Dlatego jeszcze raz podkreślam, że studia wybieramy perspektywicznie, czyli myśląc o tym, czy dadzą mi kwalifikacje, których potrzebuję, żeby robić to, co mnie interesuje. Sam papier może się kiedyś przydać lub nie, ale na dłuższą metę nie przedstawia takiej wartości jak kwalifikacje. Szczególnie jeśli program studiów jest całkowicie oderwany od potrzeb rynku pracy. Ważne jest natomiast, żeby zdobywać doświadczenie w trakcie studiów.

W trakcie czy zamiast?

Uważam, że przy mądrym planowaniu można zdobywać doświadczenie w trakcie studiów. I na pewno nie ich kosztem. Dobrze byłoby, aby było ono związane z tym, czym chcę się zajmować. Praktyki studenckie, staże, pierwsze prace, powinny być praktycznym uzupełnieniem wiedzy wyniesionej z uczel-

ni, oraz nauką samodzielności i odpowiedzialności.

Nie można też zapominać o tym, że faktycznie studia bardzo często są nie dostosowane do rynku pracy, mają program, który nie jest kwalifikacyjny, dlatego właśnie nie można zakładać, że będą gwarantem znalezienia pracy. Trzeba samemu mądrze zarządzić swoją ścieżką kariery.

A jakie są alternatywy dla studiów?

Obecnie powstaje dużo szkół pomaturalnych nowego typu. Nie takich jak kiedyś, które były tylko poczekalniami dla tych, którzy nie dostali się na studia. Powstają na bazie projektów unijnych i mają uczyć rzeczy technicznych, np. szkoła weterynaryjna. Nie studiuje się weterynarii, tylko zostaje się technikiem weterynarzem. I wtedy można albo się przekonać, że chce się być weterynarzem i potraktować studia jako uzupełnienie wiedzy, albo zdecydować, że weterynaria to pomyłka. Oczywiście w takiej szkole też trzeba najpierw dowiedzieć się, jakie konkretne umiejętności szkoła daje, żeby nie był to zlepek niepotrzebnej wiedzy.

Drugą alternatywą mogą być różne staże czy praktyki w organizacjach międzynarodowych, pozarządowych, w ministerstwach, firmach itp. Jednak muszą to być dłuższe staże, żebyśmy zdążyli się czegoś chociaż trochę nauczyć.

Czy osoba, która nie skończyła studiów nie dostanie pracy marzeń?

Może być i odwrotnie. Uważam, że dostanie pracy marzeń nie musi być związane ze studiami, ale jednak brak dyplomu zawęży pulę dostępnych stanowisk i może ograniczyć szanse młodego człowieka. Zwłaszcza, że w Polsce jest tendencja do zawyżania wymagań na danych stanowiskach. Na przykład asystencko-administracyjnych, gdzie z reguły spokojnie wystarczyłoby wykształcenie średnie i ewentualnie jakiś kurs, a często wpisuje się nie tylko wyższe, lecz wręcz podyplomowe. Znam kobietę, która moim zdaniem wykonuje pracę marzeń. Po liceum pracowała w księgarni. Potem trafiła chciwą, że zaczęła zajmować się pracą biurową w organizacji pozarządowej. Nie było do tego potrzebne wyższe wykształcenie, lecz obrotowość, przedsiębiorczość, natura społecznika. To szybko zaprocentowało: z jednej organizacji przeszła do drugiej i obecnie zarządza całym biurem dużej organizacji pozarządowej współpracując ze studentami

i profesorami. A ponieważ ma do tej pracy serce, studenci często przychodzą do niej z prośbą o radę. Może nie jest to praca marzeń w kategoriach robienia zawrotnej kariery i dużych zarobków, ale ilekroć ją widzę, mam wrażenie, że jest to zajęcie idealnie pod nią skrojone. Bo przecież praca marzeń, to przede wszystkim praca dająca satysfakcję.

Czy sytuacja na rynku pracy nie pokazuje nam, że jednak wygrali ci, którzy na studia nie poszli, tylko zaczęli pracować i nabierać doświadczenia? Mam na myśli przede wszystkim różną sytuację kobiet. Bo 19 letniej kobiety pracodawca nie posądza o to, że popracuje pół roku i zajdzie w ciążę, a dwudziestopięcioletnią już tak. A między nimi jest 6 lat różnicy w doświadczeniu.

Myślę, że tutaj nie ma reguł. Jednak rzeczywiście znam osoby, które nie dostały się na wymarzone studia dzienne i teraz uważają to za błogosławieństwo. Dlatego, że zaczęły pracę i studiowały wieczorowo lub zaocznie. Skończyły niby gorsze studia, ale pięły się po szczeblach kariery i teraz w rezultacie mają o wiele lepszą pracę, niż ich rówieśnicy po studiach dziennych. Są to zazwyczaj osoby obecnie trzydziestokilkuletnie na bardzo wysokich stanowiskach. Uważam jednak, że każda droga zawodowa jest bardzo indywidualna ale lepiej, jeżeli ktoś, kto nie wie, gdzie miałby pójść i ma to nie przemyślane, poszedł do pracy, na praktyki, do wolontariatu i zdobył doświadczenie, zanim podejmie decyzję co do studiów. A jeśli wie, co chce robić i ma to zaplanowane, to znajdzie sposób, żeby również studiując zyskać doświadczenie.

Czy absolwent, ulubione słowo z ogłoszeń o pracę, stał się w Polsce synonimem słowa: wyzyskany? Przez trzy miesiące nie opłaca mu się składek ZUS, a potem można wziąć sobie nowego absolwenta. Bycie samym absolwentem, a nie absolwentem z doświadczeniem w trzech pracach powoduje, że start jest bardzo trudny.

Za moich czasów niewielu studentów pracowało. Dlatego studia były bardzo przyjemnym okresem życia. Poza tym, praca po prostu była. Było też mniej ludzi z wyższym wykształceniem. Potem młodzi ludzie zaczęli robić praktyki

i nagle stało się jasne, że im szybciej zaczniesz pracować na studiach, tym lepiej. Obserwowałam skrajne przypadki tego podejścia, ponieważ miałam praktykantów pedagogiki UW, którzy bez przerwy gdzieś gonili na kolejną praktykę, staż czy do pracy. Często było to całkowicie nie związane z przyszłym zawodem. A najważniejsze jest, żeby wybierać pracę pod kątem budowania własnej drogi zawodowej. Oczywiście jest, że studia to czas na poznawanie różnych środowisk pracy, ale jakiś plan jest potrzebny. Np. można sobie wybrać na zasadzie wolontariatu organizację pozarządową. Takie organizacje zawsze poszukują chętnych do współpracy i pozwalają zdobywać doświadczenie, bo tam jest wszystko: i tłumaczenia językowe, i kontakt z ludźmi, i negocjacje, i praca biurowa, praca w zespole, praca projektowa.

W „Wysokich Obcasach” Nr 5 ukazał się artykuł o młodym pokoleniu zatytułowany „Pokolenie bez etatu”. Rozmowa między psycholożką, p. Anną Nowakowską, a dziennikarką, p. Małgorzatą Kolińską-Dąbrowską, została zainspirowana listem humanistki, która będąc kilka lat po studiach, nie znalazła pracy na etacie, a nie tak to miało być. Czy rzeczywiście duże jest bezrobocie wśród absolwentów? I jeśli tak, skąd się ono bierze?

Tak, bezrobocie wśród absolwentów jest bardzo duże. W dużej mierze bierze się ono z postawy samych absolwentów. Spotykam głównie stażystów z dwóch kierunków: pedagogiki i psychologii i gdybym z nich miała wybierać swoich pracowników, to niewielu bym zatrudniła. I nie dlatego, że są absolwentami i nie mają doświadczenia, tylko dlatego, że brak im samodzielności w działaniu i chęci dania więcej od siebie. Uważam, że jak jesteś na dorobku, to musisz się angażować. Nie chodzi o wyzysk, tylko o zauważenie tego, że czasem po prostu warto zostać w pracy chwilę dłużej, aby coś dokończyć i że to dla pracodawcy może być ważne. Powinniśmy o tym pamiętać dla własnej przyszłości zawodowej, nawet jeśli minęła już 16:00. Młodzi ludzie wchodzą w dane projekty tylko w określonych granicach. Oczywiście absolwenci też są różni, bo absolwent, który świadomie dokonał wyboru swoich studiów, był na nich aktywny, interesuje się obszarem, w którym został magistrem i wie, że z nim wiąże swoją przyszłość, jest dla pracodawcy cenny. Natomiast absolwent, który przyjmuje postawę: *Panie Boże, zrobiłeś mnie absolwentem, ja skończyłem studia, i mam teraz pretensje, że nikt mnie nie chce wziąć*, szybko

przekonuje się, że samo skończenie studiów to za mało.

Pracuje Pani jako doradca zawodowy. Czy często przychodzą do Pani absolwenci? Tacy, którzy skończyli studia i nie wiedzą co dalej. Z różnymi problemami?

Obecnie przychodzi ich relatywnie mało. Raczej ludzie parę lat obecni na rynku pracy. Natomiast kiedy prowadziłam centrum aktywizacji zawodowej przychodzili do mnie wszyscy, nie tylko absolwenci. Pracowałam też jako konsultant przy projekcie „Absolwenci na rynku pracy”. I tam pojawił się cały wachlarz problemów. Były osoby, którym wystarczyło dać parę wskazówek technicznych, naprowadzić je, trochę zaktywizować i problem zniknął. Były jednak osoby takie, u których brak pracy był tylko symptomem innych, o wiele większych problemów. Były też osoby, o których mówiłyśmy już wcześniej: niesamodzielne, bez pasji, nie angażujące się. A także takie, które stawiały pracodawcy zbyt duże wymagania, nie akceptując tego, że nadal się w pewnym sensie uczą i dopiero zaczynają. Często też zdarzają się osoby, które nie wiedzą kim są zawodowo. Jest im trudno opowiedzieć mi, co umieją, a kończąc dane studia nie są w stanie określić swojego zawodu, bo z kierunku studiów nie wynika ich profil kompetencyjny.

Co najbardziej rozczarowuje młodych ludzi na rynku pracy?

Pensja na pewno. Jednak ja zawsze mówię, aby zastanowili się, co dostaną w zamian i jak na tym skorzystają. Bo mogą zdobyć szkolenia, fach. Kiedyś spotkałam dziewczynę, która nie przyjęła propozycji pracy dla niej interesującej, tłumacząc, że pensja była zbyt niska. Popatrzyła jednak tylko na kwotę netto na koncie, a nie na cały pakiet świadczeń z nią powiązany: od szkoleń począwszy, na opiece medycznej skończywszy. Nie można patrzeć tylko na pensję.

Po drugie, w instytucjach państwowych na pewno konkursy. Młodzi ludzie w nich startują i nigdy nie wygrywają, bo ciągle, niestety, są to stanowiska obsadzane. I tu naprawdę nie mogą się przebić, mimo że nie są to z reguły stanowiska wysokiego szczebla. Poza tym, układy. Zastany porządek. Młodzi ludzie często uczą się o rzeczach, o których ich szefowie się nie uczyli – jak chociażby zarządzanie zespołem. Ta przepaść też może powodować

frustrację. I ostatnim czynnikiem, którego najbardziej się boimy zaczynając nową pracę, jest ocena. Źle znosimy krytykę i nie lubimy być oceniani, podczas gdy konstruktywna krytyka jest najlepszym, co może mi się przydać, ponieważ dowiaduję się, w czym jestem słaba i nad czym jeszcze muszę popracować.

W rozmowie wokół listu humanistki pada stwierdzenie, że praca to towar i aby mieć lepszą, nie można czekać w kącie aż nas znajdą, tylko samemu się reklamować. Czy potrafimy to robić ?

Jeśli jakiegoś towaru, w tym wypadku miejsc pracy, jest mało, to rośnie konkurencja. I młodzi ludzie chcąc nie chcąc muszą stanąć do takiego konkursu. Zareklamować siebie i swój produkt, czyli swoje umiejętności. Myślę, że wychodzi nam to coraz lepiej. Dużo tutaj zmieniły projekty unijne dla osób podnoszących kwalifikacje, zagrożonych utratą pracy, wracających po urlopach macierzyńskich do pracy. Zawsze jednym z bloków tematycznych jest autoprezentacja. Osiem lat temu nikt nie wiedział jak napisać CV, teraz już jest znacznie lepiej.

A co nam najbardziej przeszkadza w reklamowaniu się?

Myślę, że skromność i poczucie wstydu. Bo nie uczono nas się chwalić. Wszyscy znamy powiedzenia *jak jesteś świetny, to i tak cię znajdą*, albo *samochwała w kącie stała*. A z drugiej strony są też pewne uwarunkowania kulturowe. Jesteśmy wychowywani bardzo krytycznie. Żeby się czymś pochwalić, muszę być tego pewna. Jeśli więc mam rozbudowanego krytyka wewnętrznego, który mówi *nigdy dość, musisz być perfekcyjna, a jeśli mówisz, mów tak, żeby ktoś nie pomyślał, że jesteś dobra*, bardzo ciężko jest nam dobrze wypaść. Mówimy mniej niż powinniśmy i jesteśmy mniej aktywni. I to powoduje, że nie uczymy się przez doświadczenie. Bo popełnianie błędów jest nauką, nie popełniając ich nie mamy szansy pewnych rzeczy się nauczyć. Wstydzimy się powiedzieć, że jesteśmy w czymś dobrzy, więc na rozmowach kwalifikacyjnych często zaniżamy własne kompetencje.

I co robić, żeby tego rozbudowanego krytyka wewnętrznego poskromić?
Ćwiczenie. Jeśli nie wiem, jak dobrze znam język, to idę do specjalisty, lub robię

test i badam. I tak z każdą umiejętnością. Trzeba poprosić o ocenę kogoś, kto się na tym zna. I jeśli mam czarno na białym wyniki testu, to wiem, z czym na taką rozmowę kwalifikacyjną idę.

Kolejny z zarzutów humanistki brzmi: nigdy nie pracowałam na etacie, bo mi nikt go nie chce dać. Pytanie: czy młodemu człowiekowi jest potrzebny etat?

Moim zdaniem, absolutnie nie. W obecnych czasach, etat dla młodych ludzi w ogóle nie jest potrzebny. Kiedyś dawał poczucie stabilizacji i miała z niego wynikać emerytura. Dzisiaj z emeryturami nie wiemy jak będzie, ZUS płacimy sobie sami, w części pokrywają go też umowy zlecenia. Etat, zwłaszcza w powiązaniu z umową na czas nieokreślony, wywołuje jeszcze przekonanie, że mnie nie zwolnią. A to nie jest dobre, bo przestaję się wysilać i nie szukam zmian. A młody człowiek powinien co kilka lat sam z siebie zmieniać pracę i szukać nowych doświadczeń. Człowiek ma o wiele więcej możliwości, jeśli nie jest związany. Brak etatu daje dużą mobilność i elastyczność. Oczywiście, trzeba też mądrze zarządzać pieniędzmi, bo zawsze może nastąpić przestój w zleceniach. Dla absolwenta poszukiwanie etatu może być podwójnie groźne bo może spowodować, że weźmie jakikolwiek, byle tylko go zdobyć i będzie się trzymać czegoś, co go w ogóle nie satysfakcjonuje, albo, będzie go bardzo długo szukać i bardzo długo nie będzie miał w ogóle żadnego doświadczenia, nawet takiego wynikającego z umowy zlecenia, o dzieło, wolontariatu. Gdyby przyszedł do mnie absolwent i powiedział, że szuka pracy na etat, to bym powiedziała, że nie rozumie współczesnego rynku pracy i myśli starymi kategoriami.

Pani Hanno, dziękuję bardzo za rozmowę, a czytelników zachęcam do śledzenia naszych kolejnych spotkań poświęconych zagadnieniu pracy na różnych etapach życia. Za miesiąc rozmawiać będziemy o karierach korporacyjnych, pracy, która nigdy się nie kończy i o stresie. Zapraszam serdecznie.

Carol Wolff



MA

Każdą moją podróż do Maroka poprzedza nerwowe buszowanie w internecie. Nie, nie w poszukiwaniu informacji. Te bowiem można znaleźć w licznych przewodnikach. Trzeba tam wszakże w jakiś sposób dotrzeć. Na kilku marokańskich lotniskach lądują tanie linie lotnicze, co sprawia, że podróż będzie jednym z najmniej kosztownych elementów wyjazdu. Swoistym sportem stało się wyszukiwanie jak najtańszych połączeń. Przy odrobinie determinacji i tolerancji na niewygodę można dotrzeć z Polski do Afryki już za 70 złotych, przy okazji poznając uroki nocowania na jakimś drugorzędnym lotnisku gdzieś we Francji, Niemczech czy Włoszech.

Maroko to wręcz idealne miejsce, by zacząć przygodę z samodzielnym podróżo-

ROKO

waniem. Kraj jest niedrogi, przyjazny, „łatwy w obsłudze” i w zasadzie bezpieczny. Istnieje jednak ryzyko, że gdy raz pojedziemy do Maroka, minie sporo czasu zanim pojedziemy gdzie indziej. Jedna czy dwie wyprawy to stanowczo za mało, by porządnie poznać ten fascynujący i różnorodny kraj. Na powierzchni niemal pół miliona kilometrów kwadratowych (nie licząc okupowanej Sahary Zachodniej) znajdziemy ośnieżone góry i piaszczyste pustynie, pełne turystów kurorty i urocze, zaciszne plaże, zabytkowe miasteczka i nowoczesne metropolie. Swoje miejsce znajdą tu zarówno miłośnicy luksusu, jak i zwolennicy małych, taniutkich hotelików. Maroko czasem trudno odróżnić od Europy, ale z drugiej strony, na każdym kroku zaskakuje

swoją islamską i afrykańską egzotyką. Bramę do Maroka przez lata pełnił położony nad Cieśniną Gibraltarską Tanger. Już po zejściu z promu wpadało się w wir mediny – starego miasta, pełnego nowych dźwięków, zapachów i widoków. Kosmopolityczny, dekadentcki Tanger nadal jest „komorą dekompresyjną” dla wielu przybywających po raz pierwszy do Północnej Afryki, jednak większość turystów po prostu przylatuje do Marrakeszu czy Fezu.

Fez to jedno z najstarszych miast świata. Założony w 789 roku z małej berberskiej osady szybko stał się kwitnącą metropolią. Świetnie zachowana medina jest największym tego typu miejscem w całym arabskim świecie. Płatanina ciasnych uliczek, przez które przeciskają się wiozące

coca-colę osiołki, bajecznie kolorowe bazy, wypełnione zapachem orientalnych przypraw i smażonego wielbłądziego mięsa, krzyki przekupniów i nawoływania muezzinów z licznych meczetów. Łatwo się tu zgubić, ale wtedy właśnie zaczyna się zabawa. Wędrując pozornie bez celu po medynie prędzej czy później znajdziemy właściwą drogę. Jeśli nie – mali chłopcy za kilka dirhamów (ok 0,5 euro) chętnie zaprowadzą nas do hotelu. Zagubienie się w labiryncie mediny pozwala dostrzec wszystko to, co zazwyczaj skrywane jest przed oczami zwiedzających – prawdziwe życie w mieście-muzeum. Można też podążać za tłumem turystów, którzy idą utartymi, „przewodnikowymi” ścieżkami, stając się nieświadomie bezpłatnymi pilotami.

Fez to jedno z najpopularniejszych miast Maroka wśród zwiedzających. Przebija go tylko Marrakesz.

Położony u stóp Atlasu, na szlaku handlowych karawan Marrakesz, od zawsze był ważnym ośrodkiem handlowym, politycznym i naukowym. Teraz jest turystyczną stolicą Maroka. Na głównym placu miasta – Djemaa el-Fna łatwiej spotkać cudzoziemca niż Marokańczyka. Muzycy, opowiadacze bajek, sprzedawcy soku pomarańczowego, berberyjskich lekarstw i pamiątek czy wreszcie zwykli naciągacze, mimo swoich starań i tak giną w tyglu europejskich narodowości. Mieszkańcy Marrakeszu traktują turystów jako chodzące źródło zarobku. Spacerując po mieście co chwila natkniemy się na mniej lub bardziej nachalne oferty fałszywych przewodników, handlarzy, naganiaczy z hoteli i restauracji. Ma to swój urok, natomiast potrafi też niezwykle zmęczyć. Stanowczo nie jest to miejsce na relaks, jednak na pewno znajduje wielu miłośników.

Na szczęście Marrakesz leży blisko innych, mniej obleganych atrakcji kraju.

Góry Atlasu, ciągnące się kilkusetkilometrowym pasmem wzdłuż niemal całego kraju, są bardzo różnorodne i jeszcze nie zadeptane przez masową turystykę. Leży tutaj najwyższy szczyt Północnej Afryki – Dżebel Tubkal, wznoszący się na wysokość 4167 m n.p.m. Wąwozy Todra i Dades położone po drugiej stronie głównego grzbietu gór zapierają dech w piersiach i przyciągają wspinaczy, zaś stoki Atlasu Średniego są idealne do spokojnych, pieszych wędrówek. W cedrowych lasach łatwo spotkać małpy – makaki berberyjskie, które w Europie żyją jedynie na Gibraltarze. Zupełnie odmienny charakter mają natomiast położone na północy kraju góry Rif. Nie są wprowadzić zbyt wysokie, ale już na pierwszy rzut oka sprawiają wrażenie nieprzystępnych. Cieszą się zresztą złą sławą. To tutaj znajdują się największe w Maroku (i jedne z największych na świecie) uprawy marihuany. Z drugiej strony jednak, nie

powinno to odstraszać od zobaczenia chociażby Szefszawanu – uroczej miejscowości u stóp gór, pełnej domków pomalowanych na różne odcienie błękitu. Niebo „zlewa się” tam z ziemią, a po przejściu uliczkami tego błękitnego miasta, ma się wrażenie, że zza kolejnych niebieskich drzwi, nie wychyli się godny muzulmanin, tylko Smerf. Na zboczach okolicznych gór znajdują się „wklejone” w skały tradycyjne wioski berberские, których mieszkańcy w dzień targowy schodzą do Szefszawanu, by sprzedawać pyszne kozie sery, zioła oraz pozostałe płody rolne. Widok wędrującej po niebieskich ulicach berberskiej staruszki z kozą na rękach jest naprawdę czymś niezapomnianym.

W folderach biur turystycznych Maroko reprezentowane jest najczęściej przez jedno miasto – Agadir. To leżący nad Atlantykiem największy kurort kraju. Największy nie znaczy jednak najlepszy czy najciekawszy. Owszem, można tu przyjechać, jeśli chce się

przez tydzień czy dwa „pilnować basenu” w turystycznym Zoo. Z prawdziwym Marokiem Agadir nie ma nic wspólnego, zaś naprawdę ładne plaże nie zostały jeszcze odkryte przez masową turystykę, chociaż niestety zaczyna się to zmieniać.

Świetnym miejscem na wypoczynek i odnalezienie spokoju jest Legzira Beach. Fragment pięknego, klifowego wybrzeża, z piaszczystą plażą i wrzynającymi się w Atlantyk skalistymi cyplami. Legzira leży nieco z dala od głównych szlaków turystycznych, więc jeszcze niedawno stały tam tylko dwa czy trzy małe hoteliki. To jednak nie potrwa długo. Podczas mojej ostatniej wizyty na Lezgirze z przerażeniem zauważyłam budowę wielkiego kompleksu hotelowego. Warto się pośpieszyć, by zobaczyć plażę jeszcze nie zepsutą przez tłumy turystów i morze paranoi. Jednak nie tylko Legzira zachęca do plażowego lenistwa. Przepiękne i klimatyczne jest również marokańskie wybrzeże Morza

Śródziemnego. Góry Rif-u schodzą tutaj niemal do morza, w małych rybackich miasteczkach łatwo o niedrogi nocleg i pyszne jedzenie – świeże ryby i owoce morza na każdą kieszeń. Wypoczywają tutaj niemal wyłącznie Marokańczycy, tak więc latem, mimo tłoku, atmosfera będzie i tak bardziej autentyczna niż w Agadirze. Można zresztą przyjechać nieco przed sezonem morze jest wówczas już ciepłe, zaś plaże jeszcze puste.

Wśród całej tej mozaiki krajobrazów, w Maroku jest także pustynia. Jakoś nigdy na nią nie trafiłam. Opowieści ludzi, którzy tam byli, skutecznie odstraszają. Tutejsza „bezkresna Sahara” to dwa niewielkie ergi (kompleksy wydmy), po których odbywają się zbiorcze przejażdżki na wielbłądach, prowadzonych przez autentycznych Tuaregów. Równie autentycznych co sprzedawana w Marrakeszu antyczna saharyjska biżuteria. Pustynia zaczyna się tak naprawdę w rejonie Sahary Zachodniej. Ta część

Maroka jest też niezwykle ciekawa kulturowo, szczególnie poprzez rdzennych mieszkańców – Saharyjczyków, prawdziwy lud koczowniczy.

Maroko jest autentycznie piękne: ochrowe mury glinianych kasz (obronnych domów), oazy palm daktylowych, misternie rzeźbione drzwi i ściany meczetów, tradycyjne stroje Berberów. Fakt, że w miejscach turystycznych ludzie są nie do wytrzymania nachalni, jednak już na zapomnianej przez Europejczyków prowincji podchodzą do cudzoziemca ze zwykłą i prawdziwą życzliwością. Folklor jest w znacznym stopniu skomercjalizowany, ale obserwowanie marokańskiej codzienności – pastuszka z kozami czy tradycyjnego rifeńskiego bazaru, na którym można długo się targować, dostarcza autentycznej radości. Maroko za każdym razem mnie zaskakuje i sądzę, że dam się zaskoczyć jeszcze niejedną raz.

Natalia Wolska

TRUSKAWKOWY PARYŻ

Propozycja wyjazdu do Paryża spadła na nią niespodziewanie jak gwałtowny, letni deszcz. Wieczorny telefon, że kolega zaproponował swój pokój na weekend, że wszystko załatwione, że musi tylko odebrać paszport.. i zanim cokolwiek zrozumiała, wysiadała na parkingu dla autokarów przy Placu Concorde wprost w ramiona Jana. Zeszli do metra, niesamowitej stacji wyłożonej białymi kafelkami, z wymalowaną na nich granatową farbą Deklaracją Praw Człowieka, wysiedli na Ecole Militaire i kilka minut później odbierali klucze od pokoju 1117. Podekscytowanie sięgało zenitu. Tu wszystko było inne. Nawet patrzenie przez okno. Nie było mowy ani o śnie, ani o zmęczeniu. Jan chciał jej jak najwięcej pokazać, a ona chciała jak najwięcej zobaczyć. Nie mieli wiele czasu.

Jeszcze tego samego wieczoru wyszli w kierunku widocznej z okna pokoju, górującej nad Marsowym Polem, Wieży Eiffla, symbolu Paryża. Monumentalność tej budowli wmurowała ją w ziemię. To nie było to samo co oglądanie filmów, zdjęć czy widokówek. Cud techniki XIX wieku. Ponad 1,5 miliona połączonych ze sobą stalowych elementów. 1652 schody prosto do nieba. Zawrót głowy. Warto było odstać swoje w kolejce do kasy, żeby dostać się na jej szczyt. Tam przeżyła swój najpiękniejszy zachód słońca, kiedy mężczyzna jej życia klęknął i wyjął małe, czerwone pudełeczko. Panorama Paryża rozmyła się we łzach wzruszenia. Na dół zjechali już jako narzeczeństwo. Wieczór i noc spędzili w hotelu. W radiu cicho śpiewała Mireille Mathieu, a oni przy rozmrożonej pizze oraz winie za kilka franków przekomarzali się, ustalali daty i snuli plany. Janowi już za trzy miesiące kończył się kontrakt i zaraz po jego powrocie do kraju, mieli poważnie zająć się spełnianiem swoich marzeń o wspólnym życiu.

O świcie wrzucili do plecaka butelkę wody, kilka kanapek i znów byli na mieście. Nazajutrz wracała do Polski, a przecież było jeszcze tyle rzeczy, które uważała, że powinna zobaczyć. Jana rozczulała jej dziecięca radość, entuzjazm i niespożyta energia. Pola Elizejskie pachniały truskawkami. Nie mogli się im oprzeć i zanim dotarli do Łuku Triumfalnego, opróżnili cały koszyk. Później, przez wiele godzin chodzili po Luwrze, zwiedzając kolejne budynki

i dziedzińce. Prawdziwy labirynt historii, sztuki i nauki. Nie mogła uwierzyć, że widzi to wszystko na własne oczy. Bezwiednie wstrzymywała oddech i mocniej ścisnęła dłoń Jana przed obrazem Mony Lisy, rzeźbą Wenus z Milo, czy Nike z Samotraki. Była oczarowana i oszołomiona ogromem wrażeń. A czas uciekał nieubłagane. Na najbardziej znaną na świecie Katedrę Notre Dame, popatrzyli tylko z zewnątrz. Była niepocieszona, ale tłum przed wejściem skutecznie ich odstraszył.

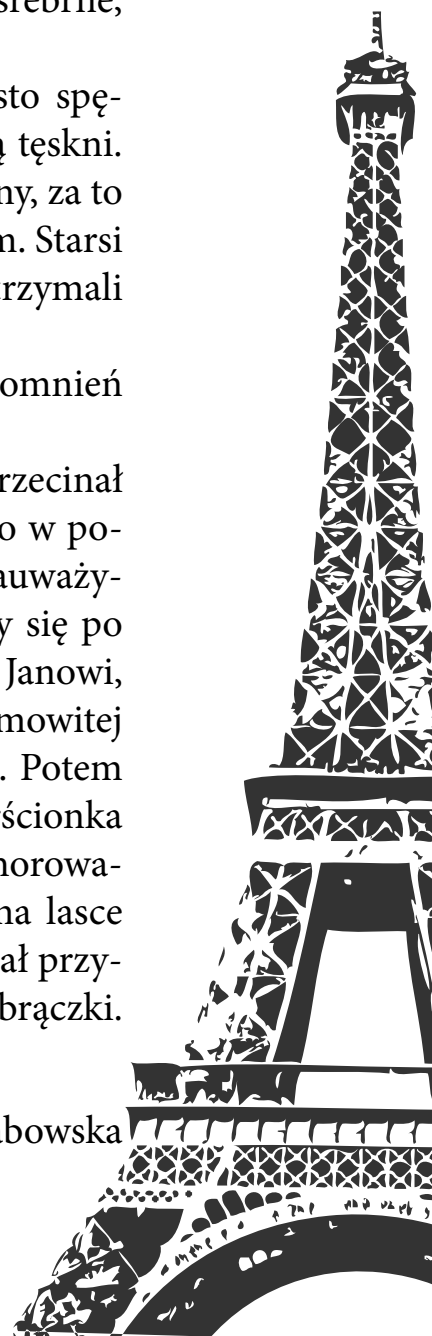
- Spokojnie, kochanie - Jan przytulił i pocałował jej włosy - mamy przed sobą całe życie. Przyjedziemy tu w podróż poślubną, albo na jakieś srebrne, czy złote gody... Jeszcze wszystko zobaczysz.

Na pocieszenie zabrał ją do Parku Luksemburskiego, gdzie często spędzał czas po pracy. Miejsce, gdzie jak mówił, najlepiej się mu za nią tęskni. Dziwny park z niesamowitym klimatem. Niezbyt duży, niezbyt zielony, za to z milionem krzeseł, gdzie można usiąść, pooddychać ciszą i spokojem. Starsi panowie grali w szachy, nianie czytały dzieciom książki, zakochani trzymali się za ręce.

- Madame, madame - czyjaś dłoń na ramieniu wytrąciła ją ze wspomnień - comment Vous sentez-vous ?

Otworzyła oczy. Słońce wyglądało, jakby szczyt Wieży Eiffla przecinał je na pół. Uśmiechnęła się do zaniepokojonej dziewczyny. Wszystko w porządku, rozleniwiło ją tylko to ciepło i chyba się zdrzemnęła. Nie zauważyła, jak papierowy rozek zsunął się jej z kolan i truskawki potoczyły się po alei. Kilka rozgniotły buty turystów. A chciała zanieść ich zapach Janowi, opowiedzieć mu o dzisiejszym dniu, Katedrze, Sorbonie, czy niesamowitej piramidzie ze szklanych rombów i trójkątów, na dziedzińcu Luwru. Potem jeszcze musi zdążyć na wieczorny lot do Warszawy. Dotknęła pierścionka ukrytego na sercu, który od lat nie mieścił się na żadnym palcu schorowanych dłoni. Powinna się pośpieszyć. Podniosła się, ciężko oparła na lasce i skierowała w stronę cmentarza. Jan nigdy nie wrócił z Paryża. Został przypadkową ofiarą napadu na sklep jubilerski, gdzie wybierał dla nich obrączki. A dziś są złote gody ich zaręczyn...

Agata Grabowska





Truskawki

Są już truskawki!! – i naprawdę przepraszam za wyrażenie, guzik mnie obchodzi, że tym razem nie będzie o guziku tylko o tych cudnych owocach. Wprawdzie guzikowa brać posiada swych truskawkowych reprezentantów choćby przy swetrze mojej córki, więc jednak trochę o guziku a trochę do rzeczy.

Geneza słowa truskawka wg. Słownika języka polskiego PWN to dźwiękonaśladowczy wyraz „trusk, co znaczy szelest, lekkie trzaskanie, jakie słyszać przy odłamywaniu liści i owoców”. Wyraz zapisany już w XV w., odnosił się pierwotnie do różnych roślin. Amerykańscy Indianie uprawiali truskawki zanim Europejczycy odkryli nowy ląd. Zmielone truskawki mieszały z mąką kukurydzianą a następnie

wypiekali z nich chleb. Po spróbowaniu tego chleba koloniści wymyślili własną recepturę i w ten sposób powstało ciasto truskawkowe.

Truskawka jest tak naprawdę tworem sztucznym - mieszanką dwóch gatunków poziomek: wirgilijskiej z poziomką chilijską. Krzyżówka tych dwóch odmian dała początek nowemu owocowi – truskawce ananasowej. Stało się tak w XVIII wieku za sprawą króla Francji – Ludwika XVI, który sprowadził do swoich ogrodów w Wersalu obie odmiany poziomek, a ogród ze swoimi dotychczasowymi, nieudanymi uprawami, udostępnił swojemu botanikowi o nazwisku Duchense. Jednakże w tworzeniu nowych odmian tych soczystych owoców prym wiodli

W średniowieczu ciężarne kobiety nie jadały poziomek, gdyż uważały ze zjedzenie tego czerwonego owocu spowoduje czerwone znamiona na ciele rodzonego dziecka.

Truskawka może być stosowana jako doskonały wzmacniacz zębów, wystarczy rozetrzeć ją na dziąsłach oraz zębach i poczekać tak kilkanaście minut.

Legenda mówi, że jeżeli przepoławisz podwójną truskawkę i podzielisz się osobą przeciwnej płci, to zakochasz się w niej.

Anglicy – bardzo cierpliwi i wytrwali w ich uprawie. Truskawki zaczęły pojawiać się coraz częściej, początkowo na stołach możnowładców – jako niezwykle elegancka przekąska, a z biegiem lat zostały spopularyzowana i stały się dostępne dla każdego.

Truskawki to w naszej strefie klimatycznej symbol lata, gdy tylko pojawiają się na straganach możemy już jednoznacznie stwierdzić, że nadeszły ciepłe dni.

Polska jest jednym z głównych eksporterów truskawek na Europę.

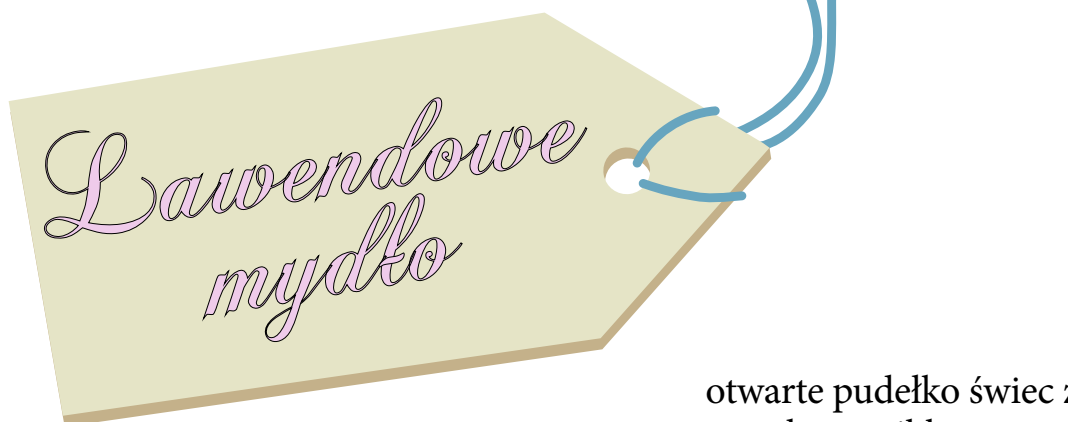
Truskawki oprócz tego, że są zdrowe i pełne witamin występując w znanych nam tandemach z czekoladą lub szampanem kojarzą nam się ze zmysłowością i luksusem. Tradycyjnie podczas wielkiej gali z okazji tenisowego turnieju w Wimbledonie, na którą

przybywa rodzina królewska, podaje się szampana wraz z truskawkami.

Choć truskawki można podawać na miliony sposobów to fani tego owocu i tak wiedzą, że najlepsze są surowe prosto z krzaka. Jedynie car Piotr I Romanow był swego czasu innego zdania i zażyczył on sobie truskawek z bitą śmietaną w środku rosyjskiej zimy i w ten sposób powstał jeden z popularniejszych deserów „Truskawki a’la Romanow”, lecz źródła milczą o tym, skąd wzięto wówczas świeże owoce.

W północno-wschodniej części naszego kraju leży Korycin, znany jako najstarsze zagłębienie truskawki w Polsce. Corocznie w czerwcu obchodzony jest tam dzień truskawki.

Smacznego życzy Sylwia



W pewnym hoteliku, który dawno stracił resztki swoich gwiazdek, mieszkał bardzo sympatyczny Królik wraz ze swą niezwykle miłą żoną i jej dwiema przyłepkami psiapsiółkami. Cała czwórka zajmowała jeden obskurny pokój. Nie wiadomo z czego się utrzymywali, ale żyli skromnie i Urząd Skarbowy się ich nie czepiał.

Któregoś wiosennego ranka, gdzieś z kularów, dało się słyszeć hałas o natężeniu dość wysokim, jak na senny mały hotelik. Królik nastawił uszy. Psiapsiółki podniosły główki. Żona królika mruknięła coś przez sen (wstawiała raczej późno). Hałas po chwili ucichł, ale niepokój pozostał.

Na obiad tego dnia Królik postanowił przygotować wielki przysmak swojej żony - jajecznicę na maselku z wkładką warzywną w postaci szczypiorku. Posiłek był gotowy, gdy kuchnią zawładnęła jakaś pobudzająca zmysły woń... W pomieszczeniu pojawił się niezwykle gość. Kocica. Mrrrauu... Co to była za sztuka! Pachnąca, jak

otwarte pudełko świec zapachowych, zmysłowa, gibka, z rzęsami jak podmiejskie stawy. Wrażenie optyczno-zapachowe było tak silne, że Królika spetryfikowało (całą łapę patelnią poparzył). Kocica miauknęła coś, co zabrzmiało jak HAU DAJ MRU, obróciła się na bardzo wysokiej szpilce i wyszła, pozostawiając swój intensywny zapach. Wierzcie lub nie, jej perfumy siedziały w króliczym nosie do wieczora.

Królik próbował opowiedzieć o tym zdarzeniu żonie. Zaczął jakoś tak: Wiesz Kochanie... ale zakończył historię o zwiędłym szczypiorku i jego dobroczynnych właściwościach. Nie chciał w żaden sposób urazić ukochanej istoty. Była taka wrażliwa. A on taki taktowny. W nocy przyśniło mu się, że nie jest sobą, tylko zupełnie kimś innym, jakimś Nie-Królikiem, który cały dzień chodzi w krawacie. Co to był za koszmar?

Do łazienki było parę kroków. Ledwo żona Królika strzepnęła resztki snu, z korytarza, dało się słyszeć lekkie drapanie do drzwi. Po chóralnym ENTREEZ S'IL VOUS PLAÎT (ciotka Królika skończyła przedwojenną pensję dla panien), do pokoju weszła Kocica i towarzysząca jej aromatyczna smuga

lawendowego mydła. Wyglądała zjawiskowo! Co za kontrast między jej trendylookiem a pokoikiem śmierdzącym wczorajszą jajecznicą, nie wspominając o czwórce jego zabiedzonych lokatorów.

Jestem Kocica, może już o mnie słyszeliście? - wymruczała i zakolysała zgrabnymi biodrami, wprawiając w ruch sitowie rzęs.

- Państwo podobno niezaangażowani zawodowo? - dodała po chwili.

- Cóż... zaczął zawstydzony Królik, a psiapsiółki wyjąkały:

- Ostatnio jakoś niekoniecznie.

- To się świetnie składa, bo ja potrzebuję pracowników - powiedziała Kocica. Królik poruszony wizytą i zaskoczony wizją pracy chwycił w obronnym geście patelnię i szepcząc, że musi przesmażyć marchewkę wybiegł z pokoju. Kocica zaczęła wyjaśniać, o jaki rodzaj prac chodzi, ale po chwili nikt jej już nie słuchał. Psiapsiółki potakiwały uprzejmie, ale głównie podziwiały, dotykały, skubały i głaskały eleganckie futerko gościa. Błogo uśmiechnięta żona Królika natychmiast pograżyła się we własnych myślach, które chwilowo zdominowała smażona marchewka. Gdy Królik powrócił z posiłkiem, decyzja właśnie zapadła. Zaczynają od jutra. Kocica wymówiła się od marchewki, tłumacząc, że już jadła w tym tygodniu.

Wychodząc rzuciła jeszcze przez ramię:

- Wpadnę po was o 6:30! - , co ponownie zaskoczyło Królika. Nie ośmielił się jednak zaprotestować, zwłaszcza, że jego żona właśnie przełykała...

Co było dalej? No cóż. Przez parę dni Kocica z uporem próbowała nakłaniać swoich pracowników do wysiłku i egzekwować wyznaczone zadania. Na próżno. Trudno jest wygrać z naturą. Królik coś wprawdzie nieudolnie majstrował. Ale dziewczyny tylko pozorowały pracę. Co zaś się tyczy żony Królika, to ta drzemała nawet wówczas, gdy Kocica ganiła ją za gnuśność. Po tygodniu Kocica straciła kontrakt i przeżyła załamanie nerwowe. Nieumalowane paznokcie, zgasłe spojrzenie, futerko bez blasku. Po paru dniach poproszono ją by opuściła pokój, więc przeniosła się do stada Królika. Chętnie się zgodzili. Może przez poczucie winy? Na cześć nowej współlokatorki spożyli wyczesaną jajecznicę (plus szczypiorek, plus marchewka).

A jak sobie dzisiaj radzą? Słyszałam, że mieszkają w tym hoteliku nadal, ciągle razem. Kocica nabrała trochę ciała. Myśli o przejęciu obiektu. Napisała nawet biznes plan, ale przez pomyłkę Królik użył go do zawinięcia kanapek.

Kasia Puchalska



Ozonowa dziura

Usłyszeliśmy o niej pod koniec lat 70, kiedy to zauważono znaczny spadek zawartości ozonu (O_3) w ozonosferze – warstwie ziemskiej atmosfery chroniącej żywe organizmy przed niszczącym promieniowaniem UV.

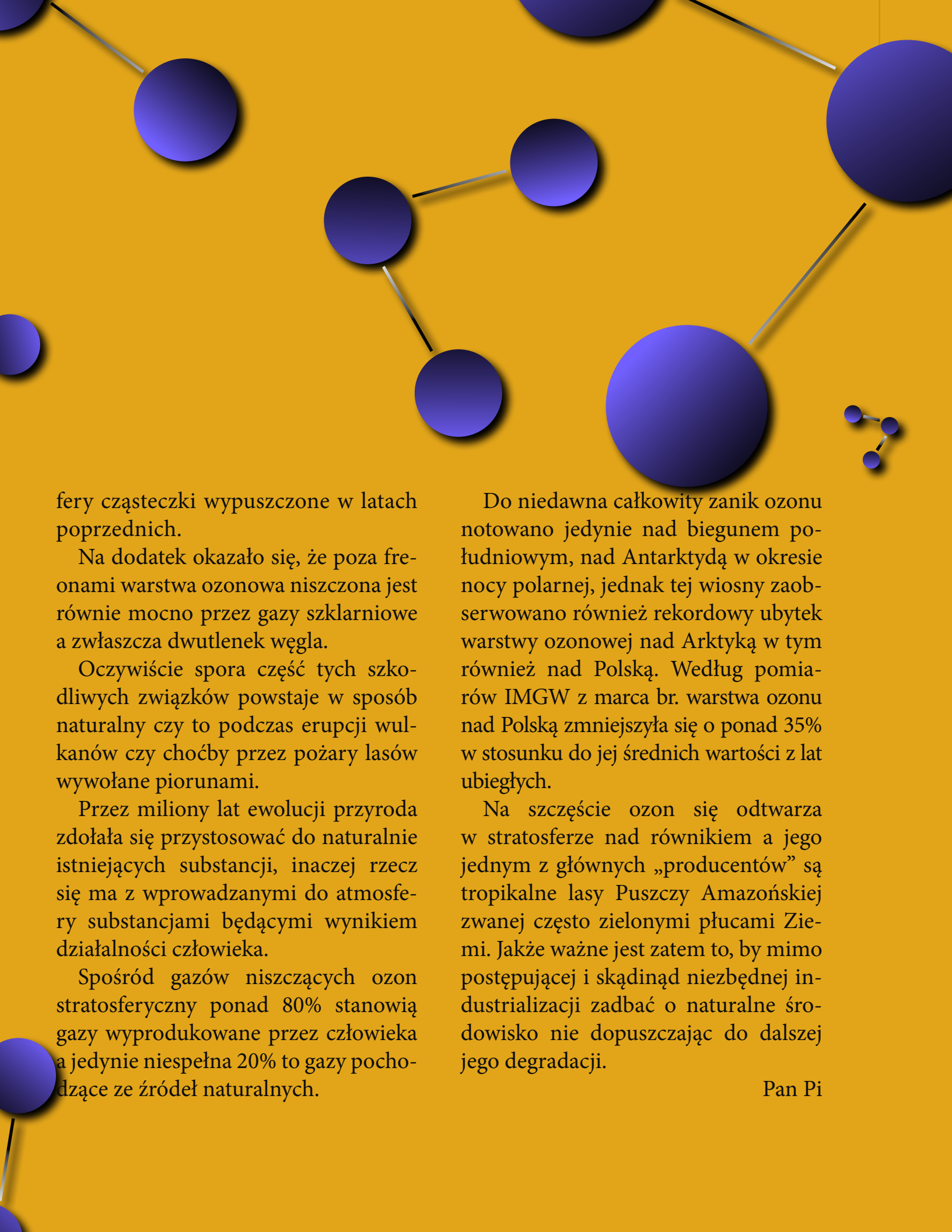
Kilkudniowy, całkowity zanik ozonu nad Antarktydą zaobserwowano po raz pierwszy w roku 1982. Jak się okazuje podczas gdy na półkuli Północnej mamy wiosnę nad biegunem południowym zaczyna się noc polarna i tworzy się wówczas nad nim olbrzymi, stabilny, trwający pół roku wir całkowicie odcinający ten obszar od mas powietrza równikowego zawierającego najwięcej ozonu stratosferycznego.

Odkąd znamy i dokładnie monitorujemy to negatywne zjawisko rośnie nasza ekologiczna świadomość. Dzięki podpisaniu przez większość państw Protokołu Montrealskiego w sprawie substancji

zubożających warstwę ozonową – praktycznie wycofano z produkcji najbardziej dla niej destrukcyjne związki chloru w tym szczególnie freony tak powszechnie używane jeszcze pod koniec minionego stulecia w sprzęcie chłodniczym oraz produkcji poliuretanowych oraz styropianowych warstw izolacyjnych. Mocno ograniczono emisję pozostałych, niszczących ozon gazów jak halony i tlenki azotu a mimo to dalej obserwujemy ubytek tej ochronnej warstwy w tempie ok. 3% rocznie.

Według naukowców jeden atom chloru może zniszczyć nawet 100 tys. cząstek ozonu.

Z uwagi na dużą trwałość niektórych freonów oraz stosunkowo powolną migrację ich cząstek do ozonosfery ocenia się, że jeszcze przez kilkadziesiąt lat po całkowitym zaprzestaniu ich produkcji będą trafiały do stratos-



fery cząsteczki wypuszczone w latach poprzednich.

Na dodatek okazało się, że poza freonami warstwa ozonowa niszczona jest równie mocno przez gazy szklarniowe a zwłaszcza dwutlenek węgla.

Oczywiście spora część tych szkodliwych związków powstaje w sposób naturalny czy to podczas erupcji wulkanów czy choćby przez pożary lasów wywołane piorunami.

Przez miliony lat ewolucji przyroda zdołała się przystosować do naturalnie istniejących substancji, inaczej rzecz się ma z wprowadzanymi do atmosfery substancjami będącymi wynikiem działalności człowieka.

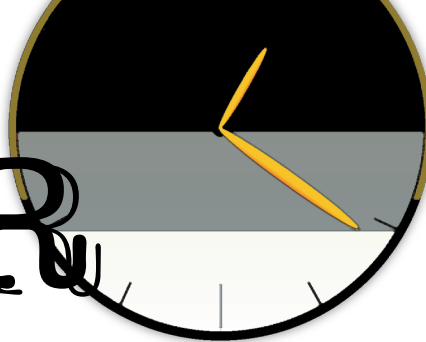
Spośród gazów niszczących ozon stratosferyczny ponad 80% stanowią gazy wyprodukowane przez człowieka a jedynie niespełna 20% to gazy pochodzące ze źródeł naturalnych.

Do niedawna całkowity zanik ozonu notowano jedynie nad biegunem południowym, nad Antarktydą w okresie nocy polarnej, jednak tej wiosny zaobserwowano również rekordowy ubytek warstwy ozonowej nad Arktyką w tym również nad Polską. Według pomiarów IMGW z marca br. warstwa ozonu nad Polską zmniejszyła się o ponad 35% w stosunku do jej średnich wartości z lat ubiegłych.

Na szczęście ozon się odtwarza w stratosferze nad równikiem a jego jednym z głównych „producentów” są tropikalne lasy Puszczy Amazońskiej zwanej często zielonymi płucami Ziemi. Jakże ważne jest zatem to, by mimo postępującej i skądinąd niezbędnej industrializacji zadbać o naturalne środowisko nie dopuszczając do dalszej jego degradacji.

Pan Pi

ZEGAR mistrz



Kiedy się poznaliście?

Udało się dotrzeć do tajnych map SS. Żadnych trupów, czyściutka robota. Szczygieł, do dziś nie wiem jakie miał imię i nazwisko, zaprosił nas na koniak. Do godziny policyjnej zostało niewiele, ale poszliśmy do kawiarni. A tam zamiast Zylberta, przy pianinie siedziała jasnowłosa Helenka. Zylberta aresztowano. Znałem się trochę na muzyce, wtedy wydawało mi się, że znam się bardzo dobrze ale Helena szybko mnie wyprowadziła z błędu. Więc postanowiłem się dowiedzieć coś więcej o Chopinie. Ta noc była niespokojna. Niemcy przeprowadzali kolejne nocne spustoszenia. Helena i ja nie chcieliśmy ryzykować. Dwie próby ominięcia patrolu udały się, ale kosztem rany na kolanie Heleny. Spędziliśmy noc w drewnianej przybudówce, w samochodzie u znajomego. Nie mogę sobie przypomnieć imienia. Tydzień szczęścia. Chopin, Helena, wojna.

Helena wyjechała na Śląsk.

Twoja babcia widziała w moich

oczach odbicie diabła. Zakochała się we mnie. Tą kartkę wysłałem pierwszą. A więc przeżyła?

Kochał ją pan?

Chciałem, ale Helena była z innego świata niż ja. Wsuwała łyżeczkę ze śmietaną do ust, tak precyzyjnie jak ja otwierałem sejfy. Wojna zatarła status społeczny, ale tylko pozornie.

Najdroższa Heleno...

Proszę nie czytać.

Ale to piękne!

Nikt do pani jeszcze tak nie napisał?

Teraz już nie pisze się listów, tylko esemesy. Najdroższa. Ładne słowo. Olśniewająca.

Była olśniewająca. Mąciła w męskich głowach. Może gdyby nie miała pewnych informacji o mnie, byłoby inaczej. Przed wojną miałem szansę siedzieć, ale wojna mnie uwolniła. Otwierałem sejfy mężom takich kobiet, jak pani babcia. Ironia losu. Pani dziadek musiał cynamonem palić.

Gdzie? Dlaczego palił cynamonem?

Tak się kiedyś mówiło na skąpych.

Nie musiał się pan przyznawać, że był pan włamywaczem.

Czasami nasze decyzje są niezrozumiałe. Powiedziałem. Nie wiadomo właściwie dlaczego.

Nie żałował pan wtedy, że nie został prawdziwym zegarmistrzem?

Wtedy? Wtedy spadł mi kamień z serca. Mogłem już tylko kochać. Kiedy miałem 15 lat zmarł mój ojciec. Na gruźlicę. Nie potrafiłem reperować zegarków tak jak on, ale miałem zwinne palce i pusty talerz. Moja matka po cichu sprzedawała swoje kosztowności, aż przyszedł moment, że zaczęła pracować pantalonami. Miałem tylko 15 lat. Jak się ma tyle lat, nie wie się, że każdy krok w życiu ma znaczenie. Byłem najmłodszym i najzdolniejszym specjalistą od sejfów.

Był pan z tego dumny?

I tak i nie. Mój ojciec nie byłby ze mnie dumny. Chciał żebym miał uczciwy fach. Miałem do niego pretensje, że umarł. Nawiedzał mnie w snach. Przepraszam na chwilę.

Ładna chusteczka.

Starzejemy się razem.

Sam pan je prasuje.

Dziwi to panią? Musiałem się nauczyć. Anieli nie ma.

Są chusteczki jednorazowe.

Nie mam w zwyczaju wyrzucać tego, co kupuję.

W życiu bym nie powiedziała, że pan był przestępcą.

Nie podoba mi się, jak pani tak mówi. Wojna sprawiła, że nie zostałem zawodowym rozpruwaczem sejfów. Ale moje zdolności uratowały wiele ludzi. A po wojnie chciałem projektować sejfy, ale doszukali się moich powiązań z AK i uwikłałem się w wielką politykę. Myśli pani, że po wojnie istniały jeszcze sejfy warte uwagi? Majątki przepadły. Honor też. Ale nie mój.

To jakie pan miał zdolności których inni nie mieli?

Świetny słuch, precyzja, instynkt. Sejf nie był zwykłym pudełkiem. To inteligentny przeciwnik. Co pani robi, jak nie może otworzyć drzwi. Złości się pani. U profesjonalisty nie ma miejsca na złość. Im trudniej, tym spokojniej. Przed wojną byłem sprawcą rozpaczliwych bogaczy. W czasie wojny dawałem ludziom radość.

Nie ma pan dzieci ?

Mam. Michał z Anielą czekają na mnie. Zabili mi go w 78. Był dobrym synem i zdolnym studentem. Uważał, że dzieje się źle i walczył. Jego ojciec był więźniem politycznym... A ja nie

powinienem siedzieć za politykę. Do dziś polityka mnie nie interesuje. Ale to były czasy że wszystko było polityczne. Po śmierci syna wycofałem się z życia. Moim całym światem stał się zakład zegarmistrzowski. Taki niewielki, na Saskiej Kępie. Spełniałem marzenia mojego ojca. Kontemplowałem przy trybikach od zegarków. Rok po śmierci Michała przyszedł do mnie jego kolega. I znowu zaczęło się życie w podziemiu. Bibuły, broszury. Pani powinna to pamiętać. Mój syn może by był ze mnie dumny. Aniela nie uważała, że to słuszne. A ja, może chciałem pomścić syna, a może chciałem stać się w końcu z własnej woli, politycznie wplatany w jakąś sprawę.

Który to był rok?

79 albo 80. Młodzieniaszkiem to ja już nie byłem. Skrzynkę kontaktową miałem do pewnej nocy. Walili tak, że cała kamienica się obudziła. Otworzyłem drzwi, zrobili czystkę. Książki, obrusy latały. Aniela stała ze łzami w oczach. Nic nie znaleźli. Nie zabrali mnie. Aniela powiedziała im coś o dializie, że teraz nie znajdzie papierów męża, a jutro idzie do szpitala. Że chyba jeszcze zostało im coś z człowieka. To było kłamstwo, ale ona nie chciała zostać sama.

Dlaczego zgodził się pan ze mną porozmawiać?

Bo lubię towarzystwo kobiet.

Podejrzewam, że brat mojej mamy jest pana synem. Jeśli podczas tego tygodnia...

Helena wyszła za mąż?

Tak, za inżyniera kiedy Adam miał 4 lata. Niech pan spojrzy. Tu na odwrocie kartki, na brzegu dorysowana klawiatura, a na niej zaznaczone miesiące, maj, czerwiec i tak do stycznia. Dziewięć miesięcy.

Nie odpisała na żadną kartkę.

Dlaczego pan do niej nie pojechał?

Pojechałem, ale jej tam nie było.

Ma pani jego zdjęcie?

Nie, nie przyszło mi do głowy żeby jakieś zabrać.

Widzi pani jakieś podobieństwo?

Trudno powiedzieć.

Żyje? Ma dzieci?

Tak.

A wie o mnie?

Jeszcze nie.

A myśli pani, że powinien?

Katarzyna Bogucka

1000 Sprawdzonych ofert
1000 Zadowolonych klientów
1000 Spełnionych marzeń



ul. Górskiego 6 lok. 51
00-033 Warszawa
tel. 22 628 23 80; 22 628 23 81

www.pisareknieruchomosci.pl
e-mail: biuro@pisareknieruchomosci.pl

Mężczyźni są leniwi

Weszłam do domu ledwie otwierając drzwi. W tym samym momencie urwała się rączka od torby i cała jej zawartość wypadła na podłogę.

- Cholera - wysapałam i udałam się do kuchni pozbywając się reszty pakunków.
- Cholera - wykrzyknęłam po raz drugi, kiedy ujrzałam na stole brudną szklankę po kawie, talerzyk po śniadaniu oraz świeże plamy na obrusie.

- Czy tak trudno posprzątać po sobie - pomyślałam - dlaczego mój mąż nie potrafi wykonać tak prostej czynności jak wstawienie naczyń do zmywarki?

Pozbierałam pomarańcze, cytryny i jabłka z podłogi w przedpokoju, wypakowałam w kuchni zakupy, włączyłam zmywarkę i usiadłam na kanapie.

- Jejku, jaka jestem zmęczona - pomyślałam - dzisiejszy dzień w pracy był dla mnie męczący, przyprowadził mnie o ból głowy. Nie dość, że przeprowadzałam rekrutację na bardzo odpowiedzialne stanowisko, to jeszcze wysłałam dwa transporty międzynarodowe.

Wciąż nie mogłam sobie przypomnieć, czy na pewno kierowcy otrzymali

komplet niezbędnych dokumentów. Miałam nadzieję, że nie cofną ich na granicy.

- Cholera - znów wkradła się myśl
- Jest już dwudziesta, a ja muszę jeszcze przygotować przemówienie na jutrzejszy, uroczysty bankiet dla mojego szefa - No tak, wypaść się możesz w weekend. Tylko który?

Burczenie w brzuchu przypomniało mi, że ostatnio udało mi się coś przekąsić kilka godzin temu, a może to było wczoraj?

Udałam się do kuchni, zrobiłam sałatkę i wrzuciłam ryż z warzywami na patelnię. Paweł będzie musiał się zadowolić niezbyt wybredną kolacją.

- Kochanie, wróciłem ! - dobiegł mnie głos męża, kiedy prawie zasypiałam w wannie.

Gdy weszłam do kuchni Paweł podgrzewał obiad.

- Wiesz Małgosiu - rozpoczął - nie chcę być niemiły, ale stęskniłem się już za Twoją pieczenią, polędwiczkami czy też kaczką. Ryż z warzywami stał się ostatnio naszą powszedniością.

Tego było już za dużo!
Wciągnęłam powietrze i słowa same zaczęły wypływać z ust.

- Może kochanie przejmiesz obowiązki gotowania - wyparowałam.

- Chyba żartujesz - mąż nie pozostawał dłużny - wiesz, jak ciężko pracuję aby utrzymać cały nasz dom.

Gdyby nie moje zmęczenie i brak sił rozpoczęłaby się niezła awantura, ale postanowiłam udać się do łóżka.

- Dobranoc - powiedziałam i wyszłam do naszej sypialni.

Leżąc w łóżku przeżywałam gonitwę myśli. Jak on mógł mi tak powiedzieć? Owszem, zarabiał dwa razy więcej niż ja i nie powodziło nam się źle. Ale to on chciał wyjeżdżać dwa razy do roku na ekskluzywne wycieczki, mieć 300 metrowy apartament w centrum Warszawy, czy prywatny samochód, pomimo iż każde z nas ma dobrej klasy samochód służbowy. Ja chciałam mieć życie pełne miłości, wspólnych kolacji, rozmów i spacerów. Nie pamiętam kiedy ostatni raz mieliśmy czas, aby porozmawiać o uczuciach, a nie o codziennych sprawach. Po co nam 300 metrowe mieszkanie skoro tylko w nim śpimy? Po co nam prywatny samochód, skoro jeździmy nim raz, może dwa razy w miesiącu?

Paweł wszedł do sypialni, włosy miał jeszcze mokre po kąpieli, poczułam ulubiony zapach wody po goleniu. Nazwałam go zapachem

prawdziwego mężczyzny. Spojrzałam na jego wysportowaną sylwetkę, opalone ciało, umięśnione ramiona i płaski brzuch. Poczułam nagły przypływa uczuć. Jaki on jest przystojny. Przytulił mnie mocno, ręką odgarnął kosmyk włosów, który spadał mi na oczy i powiedział:

- Kochanie, nie sprzecajmy się, nie lubię kiedy się dąsasz, robią ci się wtedy takie brzydkie zmarszczki na czole.

Czule musnął ustami moje czoło, mój nos, moje policzki a w ucho zaczął szeptać:

- Myślałem dziś o tobie, o twoich oczach, które są odzwierciedleniem duszy, twoich dołeczkach w policzkach kiedy się uśmiechasz i przypominałem sobie dzień w którym pierwszy raz cię ujrzałem.

- To było tak dawno - pomyślałam.

Byłam na bankiecie zorganizowanym przez moją firmę, na który zaproszeni zostali nasi klienci oraz przedsiębiorstwa współpracujące z nami, m.in. bank w którym pracował Paweł. Był nowym Wiceprezesem ds. finansowych. Finansowali nasze przedsięwzięcie. Rozmawialiśmy o tym projekcie.

- Jak to możliwe, że taka piękna i młoda kobieta zarządza tak dużą firmą, jestem dla Pani pełen podziwu – rozpoczął rozmowę.

Po kilku roboczych spotkaniach

w firmie, zaprosił mnie na lunch, później kolację i tak się wszystko rozpoczęło.

Ujął mnie swoją wiedzą, kompetencjami, urodą ale przy tym wszystkim najbardziej ujęła mnie jego skromność i chłopięce spojrzenie.

- Tak, pamiętam ten dzień - odpowiedziałam.

Byłam zmęczona i chciałam spać, ale poczułam jak jego ręka wędruje na mój kark. Delikatnie zaczął mnie masować, czułam przyśpieszony oddech na mojej skórze. I ten zapach, zapach mojego mężczyzny, który tak mnie podniecał.

Jego ręka powoli przesunęła się po moich ramionach, dalej na piersi. Zaczął mnie gładzić, drażnić moje sutki. Jego usta stawały się coraz bardziej natarczywe. Przysunął mnie do siebie, robił to delikatnie, leniwie, powoli nabierając tempa i intensywności.

Czułam falę namiętności i uwielbienia. Zdjął ze mnie koszulkę nie przestając mnie gładzić po placach, następnie lekko mnie unosząc, delikatnie zsunął majteczki. Położył się za mną i zaczął całować moje plecy, miejsce przy miejscu, nie przestając pieścić piersi.

Miałam wrażenie, że nie zostawia nawet najmniejszego centymetra mojego ciała bez pieszczot. Poczułam falę gorąca

wypełniającą całe moje podbrzusze. Zaczęłam unosić się, więc, prężyć, ale on nadal nie przyśpieszał, tylko leniwie drażnił pieszczotami moje ciało.

Zapomniałam już o naczyniach, bałaganie jaki robi, niezadowoleniu z moich ostatnich posiłków, odpłynęło zmęczenie a wraz z nim poczucie czasu i myśli o jutrzejszym bankiecie.

- Dziś zaprowadzę cię w całkiem nowe doznania twojego ciała – szepnął i uniósł mnie lekko, poczułam jego wilgotny język na moich udach, głośno westchnęłam. Byłam podniecona do granic wytrzymałości.

- Proszę - szepnęłam.

- O co prosisz – Paweł drażnił się ze mną.

- Przecież wiesz, nie mogę już wytrzymać dłużej.

Objął mnie mocno, poczułam na sobie ciężar jego ciała i wszedł we mnie, delikatnie a zarazem sprawnie i z całą siłą.

Przycisnęłam jego pośladki i krzyknęłam, poczułam, że brakuje mi powietrza. Wygięłam się w przypływie dreszczy i zapomnienia.

Kilka minut później, kiedy nasze pulsy próbowały powrócić do właściwego tempa przytulił mnie i wyszeptał:

- Czyż nie jestem boski?

Czar prysł jak bańka mydlana, spojrzałam na zegarek 3.20.

Pomyślałam, że zostały mi niecałe 3

godziny snu, kiedy usłyszałam ciche pochrapywanie Pawła.

Rano, kiedy mój mąż spał jeszcze w najlepsze, ja z trudem doprowadzałam do porządku zapuchnięte oczy. Korektor, fluid, puder. Prawie dobrze.

Po pracy postanowiłam zrobić zakupy, coś ekstra. Przygotuję pieczeń, taką, którą Paweł lubi najbardziej. Nie było łatwo po 21 znaleźć kawałek ładnej cielęciny.

Kiedy w końcu po 22 wracałam z zakupami do domu, dostałam sms. Mój mąż pojechał do rodziców. Chcieli się poradzić w sprawach sprzedaży swoich akcji.

Po wejściu do kuchni doznałam rozczarowania. Na stole niesprzątnięte po śniadaniu naczynia, przewrócony kubek, plamy po rozlanej kawie. Włożyłam naczynia do zmywarki i zmieniałam obrus, ale gdy weszłam do łazienki ręce mi opadły. Wczorajsze rzeczy Pawła, koszula, bokserki, skarpety leżały obok wanny. Brudnej wanny po jego wczorajszej kąpieli.

Odechciało mi się wspaniałej kolacji - niespodzianki, pięknego wieczoru ze świecami i całego cyrku. Niestety, jeśli nie upiekę tej pieczeni dziś, jutro już nie będzie świeża.

Przyprawione mięso wstawiłam do piekarnika, a sama po umyciu wanny wzięłam szybką kąpiel.



- Kochanie, już jestem - usłyszałam głos Pawła, który właśnie wszedł do domu.

- Jak pięknie pachnie, co to?

- Twoja ulubiona pieczeń – krzyknęłam z kuchni wyjmując naczynie z piekarnika.

- Szkoda, że jadłem kolację u rodziców – usłyszałam kiedy miałam podawać do stołu.

W tym momencie odechciało mi się już jeść – Dobranoc – wyszeptałam udając się w stronę sypialni. Leżąc w łóżku spojrzałam na zegarek 1.05 i z burczącym brzuchem przewróciłam się na bok.

Majka Kiwisiuk



wizard

U



istka

Z Karoliną Iwanicką

rozmawia

Sylwia Czarnacka

Zdjęcia:

Sylwia Czarnacka

Sylwia Czarnacka: Od razu przejdę do sedna – trudno czy łatwo być wizażystką?

Karolina Iwanicka: Jak w większości zawodów – i trudno i łatwo. To zawód, którego uprawianie wymaga oprócz innych predyspozycji przede wszystkim pasji. Nie ma on w naszym kraju zbyt długiej tradycji a i ocena jakości naszej pracy jest w dużej mierze uznaniowa ale szansa połączenia pracy z hobby znacznie ułatwia podjęcie decyzji. Ja jestem wielką pasjonatką mojej pracy.

Trudno doradzać komuś „nieprzemakalnemu”, kiedy na każdą propozycję słyszymy - a co mi pani tu daje, to nie moja tonacja (...) nie, to zbyt mdłe...

Wizażystka ma szanse zostać milionerką?

Oczywiście, jeśli zagra w totolotka... A tak na serio to, czy zostaniemy milionerami zależy tylko od nas samych. Moim zdaniem przede wszystkim od determinacji, od tego jak dużo jesteśmy w stanie dać z siebie, oraz od talentu. Nie bez znaczenia jest też ciągłe pogłębianie swojej wiedzy, śledzenie nowości i nadchodzących trendów. Powiedzmy, że wizażystka ma taką szansę. Żyjemy w czasach, w których rządzą pieniądze i miło jest zarabiać je w dużych ilościach, ale mam nadzieję, że nie dołączę do tego wyścigu i moja praca będzie najpierw moją pasją a potem źródłem dochodu.

Czy wizażystki mają etaty?

Ten zawód daje, jak niewiele innych zawodów sporo możliwości realizowania się. Można zajmować się makijażem codziennym, okazjonalnym dla klientek indywidualnych,



prowadzić szkolenia, realizować, jak ja, swoje pasje - biorę często udział w sesjach fashion, tzn. sesjach bardziej modowych, gdzie można wymyślać i wprowadzać w życie najśmielsze makijaże. To naprawdę świetna zabawa. Oczywiście praca etatowa, to także kolejna możliwość realizacji zawodowej. Sklepy kosmetyczno-perfumeryjne, salony fryzjersko-kosmetyczne, chętnie zatrudniają wizażystki w charakterze konsultantek. Można też znaleźć pracę w kolorowych czasopismach, telewizji, czy teatrze. Musimy tylko odpowiedzieć sobie na pytanie, czego szukamy, jakie makijaże nas pasjonują i na ile jesteśmy odporne na stres.

Co może być stresującego w zawodzie wizażystki? Kojarzy się on właściwie z samymi przyjemnymi obrazkami: kobiety z pędzlem, uśmiechającej się do klientki czy modelki.

(...)przydaje się i odporność psychiczna i fizyczna. Cierpliwość też jest mile widziana.

No tak, oczywiście bywa jak na zdjęciach, ale zdarzają się też sytuacje mocno stresujące, jak choćby trudna klientka, która jest przekonana o własnej nieomyślności w doborze kosmetyków podczas, gdy jej wygląd świadczy o czymś wręcz przeciwnym. Trudno doradzać komuś „nieprzemakalnemu”, kiedy na każdą propozycję słyszymy - a co mi pani tu daje, to nie moja tonacja, nie, to zbyt mdłe... itd. To dobry test na odporność psychiczną. Również przy profesjonalnych sesjach, gdzie makijaż jest podporządkowany fotografii, a zdjęcia trwają godzinami, przydaje się i odporność psychiczna i fizyczna. Cierpliwość też jest mile widziana.



Jakie jeszcze charakteru predysponują do bycia wizażystką?

Oczywiście wymagana jest wysoka kultura osobista, łatwość w nawiązywaniu kontaktów, życzliwość itd. Ale cechy szczególne, to podzielność uwagi – musimy być skoncentrowane nad tym co robimy, co mamy robić dalej i na zachowaniu odpowiedniej kolejności w tworzeniu makijażu, a jednocześnie słuchać klientki i prowadzić z nią rozmowę. W przypadku prowadzenia lekcji makijażu indywidualnego lub szkoleń wyjaśniać co robimy i czemu ma to służyć. Nie do przecenienia jest samodzielność i umiejętność podejmowania decyzji, co idzie w parze z asertywnością i umiejętnością przekonywania do swoich racji. Dobra wizażystka zawsze będzie umiała wybrnąć z trudnych pytań np.: - dlaczego mi pani maluje oko na kolor wrzосу, jak ja mam zielone oczy? - lub - bardzo podoba mi się makijaż *Smokey eyes*,

Chciałabym by kobiety miały więcej odwagi w sięganiu po kolory (...)

czemu pani uważa że nie będzie on dobrze wyglądał na moich oczach?

- Wizażystka musi być osobą twórczą, ciekawą, chcącą się uczyć i poznawać nowe techniki makijażu i wszelakie nowości kosmetyczne na rynku. Spostrzegawczą i dokładną, aby zrobić poprawny pomiar strukturalny twarzy i podczas wykonywania makijażu wykonać tzw. operację plastyczną pędzlami i kolorami. Na pewno przydaje się dobra koordynacja wzrokowo-ruchowa, oraz sprawności manualne. Ręce to nasze najcenniejsze narzędzia do pracy, jak u chirurga czy pianisty, że tak nieskromnie porównam. Ważne jest też zdrowie. Proszę nie zapominać że wizażysta pracuje cały czas na stojąco.

Czy w Polsce jest od kogo uczyć się wizażu?

Myślę, że tak. Ewa Gil, Eryka Sokólska. Zachęcam do tego aby podglądać, chodzić na warsztaty do tych znanych i też tych mniej znanych wizażystek, bo każda ma coś cennego do przekazania. Moim autorytetem jest moja trenerka Marta Iwańska. Mam nadzieję, że za

kilka lat będę tak dobra jak ona i podobnie jak ona pełna będę zapału do swej pracy i nauki. Jeżeli chodzi o umiejętności, to poziom Stefanii Aleksandro (to już niestety nie u nas) jest dla mnie wyznacznikiem jakości i chciałabym kiedyś być choć w połowie tak doskonała.

A największe zawodowe wyzwanie?

W dotychczasowej pracy było to poprowadzenie kursu nauki makijażu w Fundacji TUS dla kobiet niepełnosprawnych. Przyjechałam na pokaz i tu dowiedziałam się, że będą panie niewidome, a ja mam je nauczyć makijażu. To właśnie, nawiązując do Pani wcześniejszego pytania, jest sytuacja stresująca w zawodzie wizażysty. Nie było łatwo, ale trudno o coś bardziej satysfakcjonującego zawodowo, przynajmniej dla mnie. Pamiętam chłopaka jednej z uczestniczek – jej metamorfoza zrobiła na nim ogromne wrażenie, a mi uświadomiła, jak dużą radość mogę zrobić czymś tak pozornie błahym jak makijaż. Na co dzień nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak bardzo możliwość i umiejętność poprawiania własnego wyglądu może być dla

kogoś ważna i trudna. To była chwila ważna, sądzę i dla tej dziewczyny i dla mnie – obie dostałyśmy tego dnia sporą dawkę wiary w siebie.

Chciałabym jeszcze zachęcić kobiety, w imieniu wiosny i nadchodzącego lata – troszkę śmielej z kolorami na co dzień. Nie muszą być intensywne. Delikatnie, ale poeksperymentujmy z kolorami, nawet w makijażu dziennym. Mam znajomą, która np. organizuje warsztaty wizażowe w klubie seniora, bo nigdy nie jest za późno na zadbane wygląd! Możliwości jest naprawdę wiele. Chciałabym by kobiety miały więcej odwagi w sięganiu po kolory i by przekonanie towarzyszące wielu z nas od dzieciństwa, często słyszane od matek, babć, cioć itd., że kobieta umalowana to kobieta trudniąca się najstarszym zawodem świata, odeszło do lamusa a zastąpiła je opinia, że kobieta w makijażu to po prostu kobieta zadbane. Niech wizaż będzie sprzymierzeńcem kobiet w podkreślaniu jej atutów.

Bardzo dziękuję za rozmowę

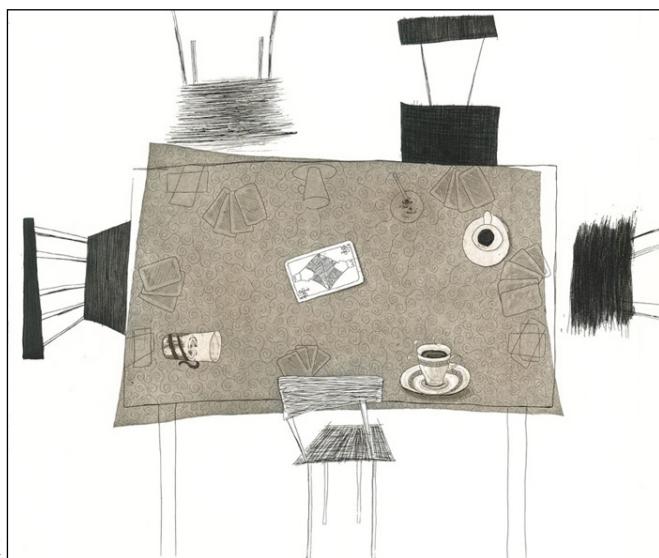
Szokowanie

– to nie dla mnie!

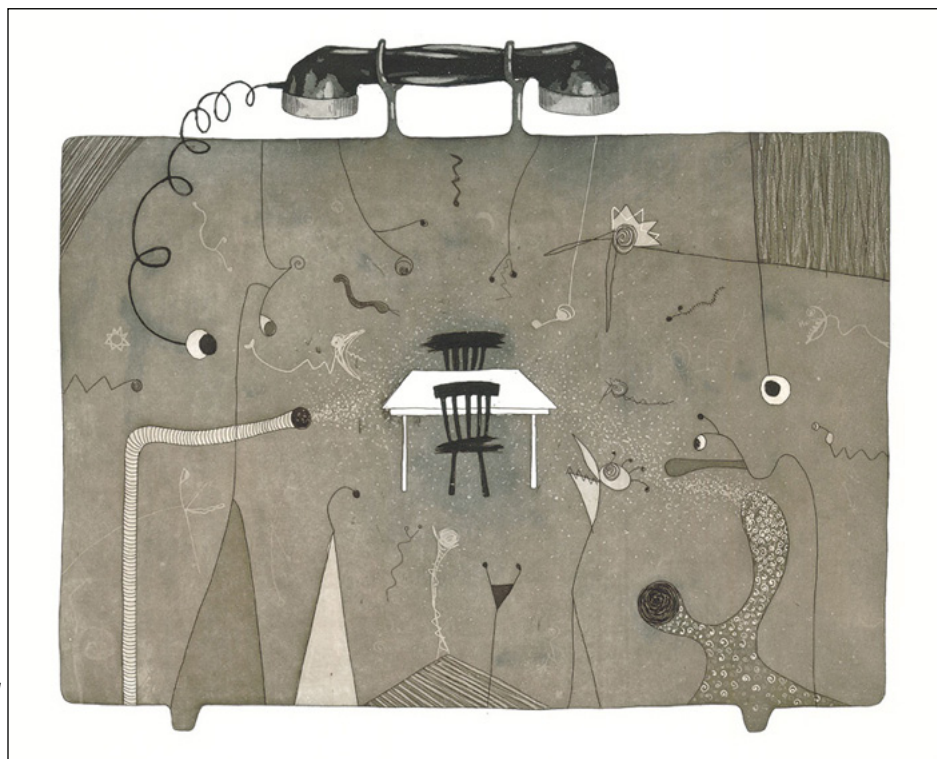
Wywiad z **Agnieszką Mazek**, graficzką, doktorem sztuki, estetiką.

Zagraj ze mną jeszcze raz

Fot. Agnieszka Mazek



Na podłuchu
Fot. Agnieszka Mazek



Carol Wolff: Dlaczego zainteresowałaś się grafiką?

Agnieszka Mazek: Odkąd pamiętam, fascynował mnie rysunek, który jest zbliżoną formą do grafiki. Na studiach poznałam różne techniki graficzne, jednak najbardziej zafascynowała mnie akwaforta i akwatinta. Ta przygoda trwa do dziś.

Na czym polegają te techniki?

Są to techniki trawione, niełatwe i czasochłonne, z czego oglądający grafikę rzadko zdają sobie sprawę. Trawione chlorkiem żelaza miedziowe matryce, pokryte farbą odciska się na papierze w prasie drukarskiej. W ten sposób powstają grafiki.

Grafiki, które zaprezentowałaś na ostatniej wystawie są bardzo osobiste.**Czy zawsze robisz tak osobiste prace?**

Tak, ale zawsze jest to zakamuflowane. To, co przekazuję przez swoje grafiki, wyrasta z mojej osobistej historii życia. Jednak nie uważam za dobrą pracę tę, która cokolwiek wymusza na oglądającym. Zostawiam zatem duże pole wolności interpretacyjnej odbiorcy. Staram się, aby moje prace opowiadały o życiu, a centralnym tematem zawsze jest człowiek.

O twoim życiu, czy o życiu w ogóle?

A co to jest moje życie? Ja jestem częścią społeczności, więc moje życie łączy się z życiem innych. Oczywiście są konkretne tematy, które wydarzyły się tylko w moim życiu i które poruszam w swoich pracach. Osobiste wydarzenia z mojego życia stały się bodźcem do stworzenia grafik. Jednak nie chcę, aby dana grafika kojarzyła się komuś z wydarzeniem, które mnie natchnęło do jej stworzenia. Wolałabym, żeby była bardziej uniwersalna i podlegała wielu interpretacjom.

Wydaje mi się, jednak, że nie wszystkie prace z wystawy *Zagraj*

ze mną jeszcze raz są ze sobą tematycznie związane.

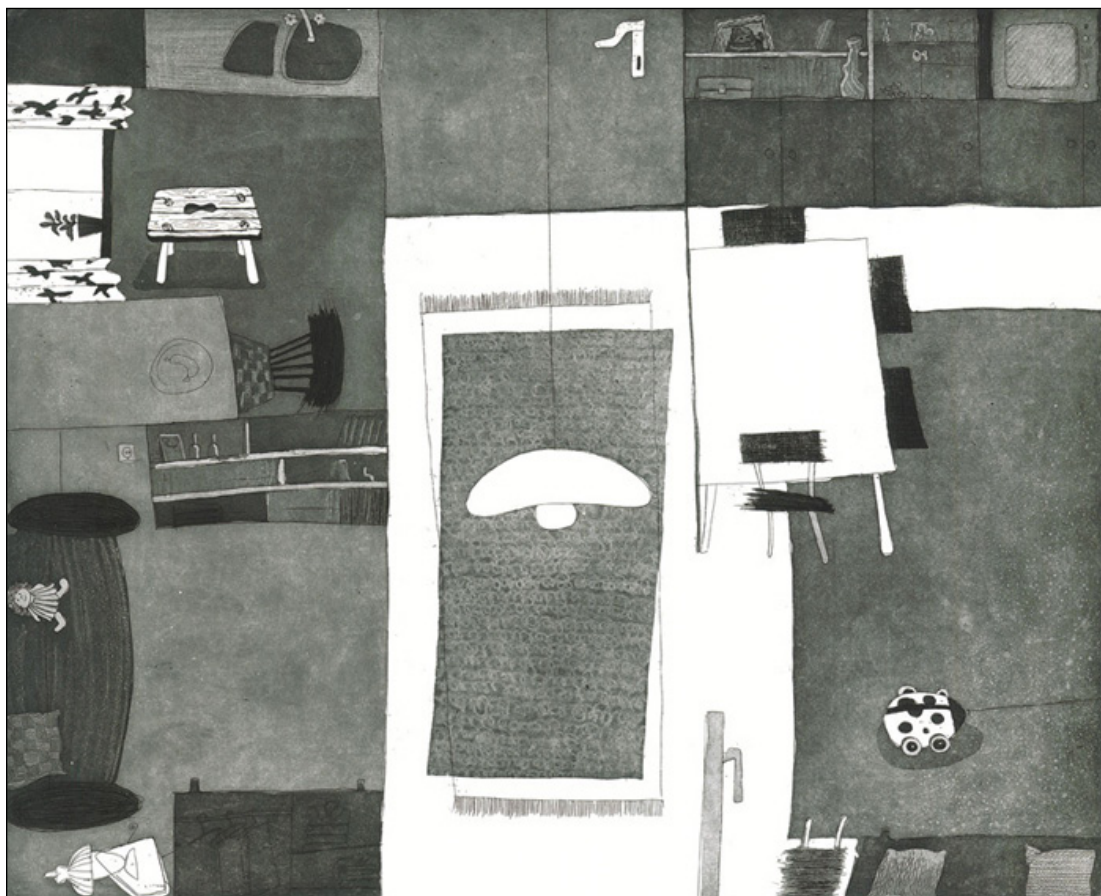
To prawda. Niektóre są powiązane tylko formalnie: wielkością, techniką, podobnymi walorami artystycznymi. Tematycznie nie są ze sobą związane, bo tworzone były pod wpływem różnych stanów emocjonalnych. Każda z nich opowiada o innym wydarzeniu. Ważne jest to, aby te chwile umieć zatrzymać w kadrze na zasadzie fotografii emocji, aby móc kiedyś do nich wrócić.

Pamiętnik wizualny i komentarz rzeczywistości – takie sformułowania padają z ust twoich mentorów. Poza tymi osobistymi, jakie zdarzenia komentujesz i jakimi narzędziami się posługujesz?

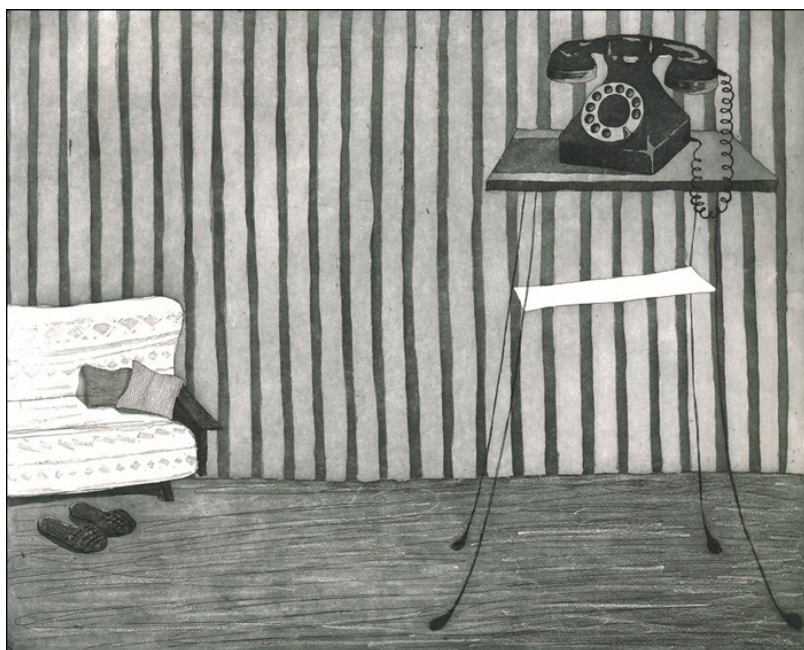
Ironią, humorem, krzywym zwierciadłem. Moje prace poza, sferą osobistą, bardzo często dotyczą zjawisk ogólnospołecznych. Polityki staram się nie komentować, bo po co? I tak jest jej wszędzie pełno. Jak już mówiłam, najbardziej interesuje mnie człowiek. Czasami komentuję głupotę ludzką, nadmierne interesowanie się życiem innych, tak jak w pracy *Na podłuchu*. Narzędziem służącym temu jest nieraz przedstawianie różnych nieoczekiwanych skojarzeń jak np. w grafice *Szach, mat, ...pat* gdzie na szachownicy zamiast figur szachowych pojawia się konik na biegunach, śpiąca para królewska w łóżu. Oglądający ten obraz zaproszony jest do poszukania siebie na szachownicy życia. Jej powaga jest często przez nas przewartościowana, przez co my sami stajemy się śmieszni. Podświadomie dodajemy sobie majestatu usadawiając się na tronach stanowisk, zapominając, że hinduski wynalazca szachów wpisał w nią zasady logiczności, rozwagi i konsekwencji. Bez przestrzegania tych zasad, życie może stać się parodią.

Przeczytałam o twoich grafikach, że wciągasz widza w swój świat. W jakim celu?

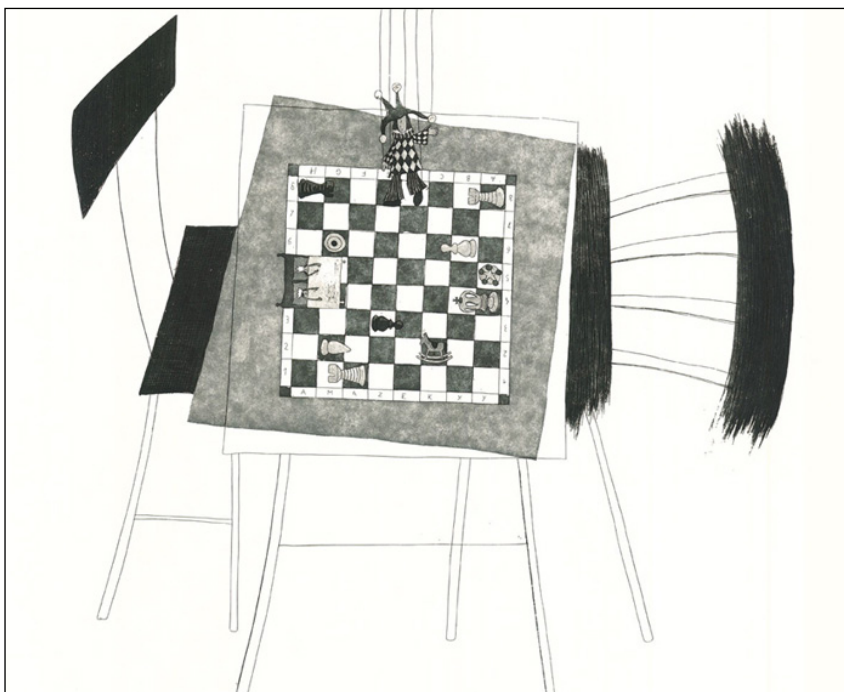
Sztuka bez widza nie istnieje. Nie chcę tylko dawać upustu swoim emocjom, ale chcę prowadzić z kimś dialog. Chcę wzbudzić w nim refleksje,



To pamiętam
Fot. Agnieszka
Mazek



Zadzwoń do mnie
Fot. Agnieszka Mazek



Szach, mat, ... pat
Fot. Agnieszka Mazek

ale chcę też aby odczuł piękno. Nie staram się swoimi pracami szokować, ten rodzaj sztuki mnie nie interesuje. Uważam, że w sztuce nie jest to konieczne.

Jakie Twoim zdaniem powinno być dzieło sztuki?

Powinno przyciągać uwagę widza, budzić dobre emocje, wzruszać, prowokować do refleksji. Wizualnie powinno też uczyć harmonii barw, cieni, kształtów, zachęcać widza nie tylko do oglądania, ale także do tworzenia.

Mówisz, że przedmiot twojego zainteresowania stanowi człowiek. Jednak w twoich pracach ludzie się nie pojawiają.

Dlaczego?

By mówić o człowieku, nie muszę go przedstawiać figuratywnie. Wszystkie przedmioty, które umieszczam w swoich grafikach, były lub kiedyś będą dotknięte ręką ludzką. Ja, ty czy inny widz już patrząc na dane dzieło sztuki sami też stanowimy ten obraz.

W ostatnim cyklu grafik często odwołujesz się do dzieciństwa.

Czy wracanie do krainy dzieciństwa jest ważne?

Tak. Mam wspaniałe wspomnienia z dzieciństwa. Życzyłabym takich dzieł swoim dzieciom. Życie współczesnych dorosłych bardzo różni się od życia tych, których spotykałam w dzieciństwie. Wtedy ludzie mieli czas dla siebie nawzajem. Pamiętam to i za tym tęsknię, ponieważ dzisiaj ludzie ciągle gdzieś gonią, niewiadomo za czym. Mimo, że mamy rozwiniętą technikę: komputery, SMS, media społecznościowe, oddalamy się od siebie. I to jest smutne.

Wystawa w SCEK dobiegła już końca. Masz jakieś plany artystyczne na przyszłość?

Od 10 czerwca wystawa *Zagraj ze mną jeszcze raz*, poszerzona o małe formy graficzne będzie prezentowana w Powiatowej Galerii Sztuki w Ostrowie Wielkopolskim. Oczywiście serdecznie zapraszam wszystkich, którym nie udało się obejrzeć wystawy w Warszawie. Spotkała mnie też miła niespodzianka: jedna z moich grafik zakwalifikowała się na Międzynarodowe Triennale Małe Formy Grafiki - Łódź 2011. Inna z prac będzie pokazana na Międzynarodowym Triennale we Frechen w Niemczech. Oczywiście nie znaczy to, że spoczywam teraz na laurach. Zaczęłam już prace nad kolejnymi grafikami.

Czy możesz powiedzieć, że nakreśliłaś już swoją drogę zawodową?

Nie. To ciągle przede mną. Bardzo chciałabym znaleźć swoje miejsce w życiu. Tak, aby praca artystyczna mogła jednocześnie być pracą zawodową.

Czego niniejszym ci życzę i dziękuję za rozmowę.

W dniach od 7 kwietnia do 8 maja w Galerii Abakus na warszawskiej Starówce można było oglądać wystawę jej grafik zatytułowaną „Zagraj ze mną jeszcze raz”.



„SO SWEET PROJECT”

Duży dylemat miałam co zrecenzować w tym wydaniu Gazetowi. Długo zastanawiałam się co lepiej będzie opisać – dzikie zakupy na „Need For Street”, czy też może studencki miesiąc z całą pulą niesamowitych koncertów czyli Juwenalia, APSurdalia i Ursynalia. Tak się zastanawiałam i doszłam do wniosku, że są to zbyt mocno już rozpropagowane wydarzenia aby pisać o nich po raz setny. W związku z tym, koniec końców, powstał pomysł opisanie cukierni artystycznej „So Sweet Project”. Nie znalazłam o tym jeszcze nigdzie notki,

a to bardzo nowatorskie przedsięwzięcie.

Czym w ogóle jest „So Sweet Project”? Otóż są to dwie młodzietki, lecz niesamowicie kreatywne siostry Popardowskie- Paulina i Weronika. Założyły one pierwszą w Polsce cukiernię artystyczną w której tworzą muffiny i cupcake-i. Tworzą one te pyszności w wymyślnych i niepowtarzalnych kształtach. Bazą jest klasyczny muffin w wielu różnych kombinacjach smakowych.

Mottem przewodnim dziewczyn jest hasło „Udowadniamy, że muffin może być dziełem sztuki”, z czym całkowicie się zgadzam. Gdy pierwszy raz obejrzałam zdjęcia pyszności przygotowanych przez siostry Popardowskie- zaniemówiłam. Wariacje jakie są one w stanie stworzyć na jednym łakociu są wprost niepojęte.

Co należy zrobić, aby posiąść takie jadalne dzieło sztuki? Należy znaleźć dziewczyny w Internecie i napisać do nich maila lub też zadzwonić i przedyskutować z nimi temat osobiście. Chodzi głównie o przygotowanie indywidualnego projektu malutkich dzieł sztuki. Ale uwaga! Jeśli planujecie osłodzić komuś życie, zgłóście się do właścicielek internetowej cukierni z dużym wyprzedzeniem.

Pierwszeurodziny odbyły się 14.05 br. w „Big Buddha Beach”. Paulina i Weronika przygotowały całą masę kolorowych muffinków i pysznych cupcake-ów.

Gratulujemy i życzymy powodzenia.
Agata Jasińska



Bajki Nowe

Katarzyna Bogucka

Paw czy Żyrafa

Taki to ponoć żyje
Kto w górę wyciąga szyję
Nawet mu czasem zazdroścę
Że choć durny; potrafi trzymać się prosto

